TYDZIEŃ

Nr 11 (35) ROK II

16. III. 1947

CENA 12 ZŁ



DZIŚ: Stefania Grodzieńska, Jarosław Iwaszkiewicz, Jerzy Kirchmayer, Karol Małcużyński, Zbigniew Mitzner, Grzegorz Timofiejew, Jerzy Wyszomirski

NASZA OKŁADKA



Pierwiosnki

(Rys. Kazimierz Mann)

tak i nie

Dwa typy

Minister Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii jest „self-made-manem", byłym przywódcą brytyjskich związków zawodowych, które stworzyły właściwą siłę Partii Pracy, wegetującej w pierwszej fazie rozwojowej na pożywce słabego ruchu socjalistycznego, ześrodkowanego w „Fabian Society".

Rozmawiając z dziennikarzami, minister Bevin zażywał bez żenady jakieś pastylki i czyścił sobie paznokcie.

Minister spraw zagranicznych Bidault stanowi przeciwieństwo Bevina. Wykształcony, reprezentujący lekkość i elastyczność umysłu francuskiego, profesor i dziennikarz. Przedstawiciel prasy polskiej powitał jako były kolega. Praktykujący katolik, porównał z niezwykłą trafnością ostatnie cierpienia Polski do Drogi Krzyżowej. Ruiny Warszawy uczyniły na nim o wiele głębsze wrażenie, aniżeli na jego brytyjskim koledze.

Zły model



BIDAULT

Podczas konferencji prasowej w wagonie salonowym ministra Bidault, znany karykaturzysta warszawski, Żebrowski szkicował szybko ministra, a po konferencji poprosił go o podpis pod rysunkiem. P. Bidault pochwalił udany szkic i nie zastanawiając się długo, napisał:

„La presse polonaise a de bons dessinateurs, mais de mauvais modeles". (Prasa polska ma dobrych rysowników, lecz złe modele).

Zdanie to wywołało ogólną wesołość. Najgłośniej śmiał się minister Skrzeszewski.

Na raucie



MASARYK

Z okazji pobytu w Warszawie delegacji Rządu czechosłowackiego w Prezydium Rady Ministrów odbył się wielki raut, wydany na cześć miłych gości przez Premiera Cyrankiewicza. Gdy z zajeżdżających sznurem limuzyn wypływać zaczęli zaproszeni goście, mimowoli przypominały się pierwsze rauty, urządzane dwa lata temu, czy nawet w ubiegłym roku. Skromne to-to było, panie prawie że w biurowych sukienkach i sweterkach, panowie w jasnych, zwykłych garniturach — ot, każdy ubierał się w to, co miał. Dzisiejszy postęp pod tym względem zaczyna przypominać już trochę „dawne czasy"... Galowe mundury, fraki, smokingi! I zaambarasowane panie, które na widok licznych długich, powłóczystych sukien nie wiedziały, czy można wejść w czarnej, wizytowej, ale krótkiej! Na dole, przy wejściu stłoczyło się kilka pań, obserwując bacznie inne wchodzące — zajęte ożywioną dyskusją, czy należy zdjąć kapelusze, czy też można zaprezentować olśniewający model z zabójczym piórem?

Zresztą nowe czasy, nowi ludzie — nie pozwolili, by wszystkie tradycje przed wojennych sztywnych przyjęć oficjalnych przeniesione zostały do dzisiejszych sal. Panie, bez względu na strój, szybko się rozruszały, głównie dzięki... tańcom. Przed wojną na galowych rautach rzadko tańczono. I na tym raucie z początku smętnie i urzędowo przygrywała orkiestra. Po pewnym jednak czasie dojrzano pod kolumną Marszałka Żymierskiego, spiskującego z ożywieniem z kilkoma osobami. Szef protokółu musiał ustąpić. Na życzenie Marszałka orkiestra ożyła, rozległy się tony walca i lody prysnęły! A już całkiem gorąco zaczęło się robić, gdy czescy goście z pięknymi Warszawiankami zaczęli demonstrować narodowy taniec czeski — p o l k ę! Podobno nawet Wisła zaczęła w pobliżu Rady Ministrów odmarzać.

Tego samego wieczoru jeden ze znanych polityków polskich wystąpił z propozycją, która mogłaby mieć w razie zastosowania pomysłu wiekopomne znaczenie.

— Oba nasze narody mają niektóre zalety, których brak jest z jednej strony Czechom, z drugiej strony Polakom. Czesi są niezwykle pracowici, rozsądni, systematyczni, Polacy — romantyczni, pełni fantazji. Co by było, gdyby pożenić milion Czechów i milion Polek i milion Polaków z milionem Czeszek? Może za kilkadziesiąt lat mielibyśmy taki wspólny, idealny naród: w miarę możności, rozsądny i przy tym nie pozbawiony romantycznej fantazji i rozmachu?! Biologowie, uczeni i politycy! Zastanówcie się!

W drodze do Moskwy



BEVIN

Warszawa przeżyła niedawno „Wielkie dni". Przekonaliśmy się naocznie, iż leży ona na wielkim szlaku międzynarodowym, łączącym wschód z zachodem i zachód ze wschodem. I tak się jeszcze w dodatku zdarzyło, że właśnie Warszawa stanęła na drodze dyplomatów, jadących radzić nad sprawą Niemiec. Właśnie Warszawa, przez Niemców zniszczona, lecz pełna chęci do życia i odbudowy dawnej świetności, pozostanie z całą potęgą wyrazu swoich ruin w oczach ludzi, którzy często w zagmatwanych rachubach dyplomatycznych skłonni są zagubić najistotniejszy element rachunku: człowieka i jego sprawy. Na ostatnim etapie podróży do Moskwy — Warszawa — ostrzeżenie i przypomnienie, do czego zdolni są Niemcy, ci, którzy mają być przedmiotem obrad i postanowień.

Pierwszy z serii zagranicznych gości odwiedził Warszawę przejazdem minister Bevin. Niemałą sensację wzbudził na ulicach Warszawy długi sznur samochodów, za szybami których dojrzeć można było ministra i jego asystę, odzianych w ciepłe, futrzane czapy i imponujące futrzane okrycia.

— Niczym wyprawa podbiegunowa — żartowali sobie Warszawiacy.

Rzeczywiście Brytyjczycy zaszeregowali swoją podróż do Moskwy do gatunku „wielkiej wyprawy", pełnej nieoczekiwanych wydarzeń i figlów pogody.

W czasie konferencji prasowej, która miała miejsce w wagonie na Dworcu Gdańskim, ministrowi Bevinowi wymknęła się taka uwaga na zapytanie jednego z dziennikarzy, czy spodziewa się sukcesów konferencji moskiewskiej:

— Przecież, gdybyśmy się nie spodziewali sukcesów, nie wybieralibyśmy się w taką daleką podróż! — i sapnął przy tym wymownie.

Taka to daleka niektórym się Moskwa wydaje! A biedny minister Mołotow musi tyle razy tę samą trasę odwalić, jadąc do New Yorku, Londynu, czy Paryża! I jeszcze nigdy dotychczas nie narzekał... Widocznie przestrzeń jest pojęciem względnym, a miernikiem bywa czasami... po prostu dobra wola.

Różnice

Nazajutrz zawitała na Dworzec Gdański delegacja francuska, ubrana po parysku, w lekkie palta. Trafiła na znaczne ocieplenie temperatury i też nie raziła tą lekką garderobą.

Minister Bidault jeździł po mieście z gołą głową, w lekkim palcie i widać było, że czuł się doskonale. Dwaj wyżsi oficerowie wybiegli z wagonów bez płaszczów, w drzwiach wagonów stali żołnierze francuscy z pułku „chasseurs a pied" w battledressach bez płaszczów. Nawet kucharze wystawili przez okna wagonu prawie nagie torsy.

Ostrze na ostrze

WARSZAWA PRZED POTOPEM

Jakiekolwiek byłyby aspiracje i zalety większych miast prowincjonalnych, zawsze każda stolica skupia w sobie, jak soczewka, wszystkie najbardziej charakterystyczne cechy narodu, stanowiąc w oczach obcych i swoich jak gdyby herb danego kraju. Nawet wówczas, gdy jest tak okaleczona, jak Warszawa.

I tak — często w rozmowach, dyskusjach czy artykułach używa się nazwy stolicy, jako synonimu państwa: Co sądzi Londyn? Co zrobi Moskwa? Co nosi w tym sezonie Paryż? Radio londyńskie, np. zazwyczaj mówi o „rządzie warszawskim", chcąc widocznie zrobić tym naszemu **p o l s k i e m u** rządowi przyjemność...

Warszawa skoncentrowała w sobie w dużej mierze zalety — i naturalnie wady — naszego narodu. Jedna cecha jest zwłaszcza niezwykle ciekawa: na codzień narodek kłóci się, ile sił mu starczy, t. zn. bardzo dużo, gdyż, jak wiadomo, siły żywotnej ma los nie poskąpił. Za to, gdy przyjdzie jakiś moment decydujący, chwila ważka i niepowtarzalna, a już niezawodnie w obliczu wspólnego niebezpieczeństwa — jednomyślność murowana.

Takim właśnie jednomyślnie uchwalonym hasłem na dziś jest w Warszawie zdanie, którym witają się wszyscy bez wyjątku — dobrzy znajomi przy pół czarnej i przygodni towarzysze podróży „na łebka": „No, co będziemy pływać?"

Żadna, najbardziej sensacyjna premiera — ba, nawet żadna zagraniczna wizyta, nie były chyba oczekiwane z takim zainteresowaniem i nawet, bodaj że, niecierpliwością — jak właśnie grożąca z powodu wylewu Wisły powódź!

Rzecz jasna, różni ludzie różne swoje osobiste plany i sprawy łączą z przewidywanym zakłóceniem normalnego życia. Co do jednego wszyscy są zgodni: przetrwała Warszawa różne powodzie, jako to: powódź wszelkiego kalibru i rodzaju urzędów i instytucji, powódź przepisów, powódź planów odbudowy stolicy, powódź złych sztuk teatralnych i długich akademii w Romie, liczne powodzie plotek i wiele, wiele innych. Czemuż by nie miała przetrwać jeszcze tej jednej?

Niektórzy nawet się cieszą. Mężowie powysyłali żony do rodziny na wieś (razem z dziećmi i teściową), nieszczęśliwi, którym się to nie udało, marzą, by w chwili, gdy zabrzmi syrena alarmowa, znaleźć się z paroma przyjaciółmi w przyjemnym lokalu, nadając groźnemu żywiołowi wody bardziej pieszczotliwe, zdrobniałe miano. Dzieci oczywiście cieszą się, że nie będzie lekcji, urzędnicy, że odpoczną w domu itd.

Instytucje państwowe również nie trwożą się spodziewanym nadmiarem wody. Niektóre są z nią znakomicie spoufalone — nie lękają się jej resorty mające do czynienia ze sprawami kultury, sztuki i słowa drukowanego, Ministerstwo Żeglugi poczuje się z pewnością jak u siebie w domu, inne też nie zginą, skoro bez cudzej pomocy nie utonęły od początku na głębokich wodach naszego życia.

Niektóre instytucje wręcz się cieszą! Np. Urząd Kwaterunkowy: ileż to możliwości dalszego zagęszczenia mieszkań dostarczy przymusowa ewakuacja ludności z zagrożonych dzielnic! BOS-owi nic nie grozi, jeżeli ulokuje się na czubku wieży, zbudowanej z opracowanych planów Nowej Warszawy. A najwięcej uciechy ma Zakład Oczyszczania Miasta, który żywi niezachwianą nadzieję, że potoki wody przyspieszą proces odśnieżania stolicy, co przy najlepszych wysiłkach wymienionego zakładu potrwałoby w normalnych warunkach co najmniej do maja.

„Łebkarze" szykują krypy — „na Pragie, na Pragie!" — przypominając sobie czasy, gdy jeszcze nie było mostu, Ministerstwo Odbudowy nosi się z zamiarem wybudowania wielkiej arki śladem Noego, który pierwszy rozwiązał kwestię mieszkaniową tym uproszczonym sposobem po zniszczeniu ludzkich osiedli.

Prawdopodobnie była to pierwsza spółdzielnia mieszkaniowa na tym ziemskim padole.

I ja się nie boję: avis znaczy po łacinie ptak, a właśnie ptak był pierwszym żywym stworzeniem, które po potopie spotkał Noe. A więc, następna korespondencja o Warszawie z góry Ararat.

AVIS.

W Pałacyku Myśliwskim

W Pałacyku Myśliwskim w Łazienkach, gdzie zamieszkali nasi czescy goście, odbyła się konferencja prasowa dla dziennikarzy polskich i korespondentów zagranicznych.

Konferencja ta obfitowała w szereg ciekawych momentów.

Największe zainteresowanie wzbudziła zapowiedź budowy kanału Odra-Dunaj. Zwłaszcza poruszeni byli tą sprawą nasi zagraniczni koledzy. Nie było końca pytaniom, kiedy zostanie rozpoczęta budowa, jaka będzie długość, jaka szerokość, jak długo potrwa budowa — jedna z korespondentek zainteresowała się, kto będzie finansować przedsięwzięcie. W sposób dowcipny odpowiedział na to Premier Gottwald:

— Jeżeli są dobre chęci, zapał i ludzie do pracy, pieniądze nie są wtedy rzeczą najważniejszą!

tak i nie STRONA 4

Zbigniew Mitzner

PAKTY I FAKTY

ZDAWAĆ by się mogło, że Europa zachorowała znów na paktomanię. Epidemia paktów wszelkiego rodzaju i różnorodnej wartości szalała w Europie po pierwszej wojnie światowej. Życie wykazało całą nietrwałość tych układów międzynarodowych, które wówczas tak pochopnie zawierano.

I oto dziś znów widzimy, jak nawiązuje się liczne nici pertraktacji i realizuje szereg umów między państwami. A więc układ o przyjaźni i wzajemnej pomocy między Francją i Wielką Brytanią. A więc zapowiedź zmodyfikowania sojuszu radziecko - brytyjskiego. A więc pakt o przyjaźni i wzajemnej pomocy między Polską a Czechosłowacją. A więc zapowiedź paktu czterech wielkich mocarstw. A więc zapowiedź przystosowania do nowych warunków sojuszu polsko-francuskiego i sojuszu francusko-czechosłowackiego.

CZY pakty te — i te już zrealizowane i te tylko zapowiedziane — różnią się czymkolwiek od układów zawieranych w latach 1919 — 39? Gdy robimy to zestawienie, rozumieć musimy, że wszelkie układy międzypaństwowe, szczególnie jeśli chodzi o zagadnienia czysto polityczne, posiadają dwojaki charakter. Jedne są wyrazem koniunkturalnego i przemijającego układu stosunków i sił międzynarodowych — i w miarę zmiany tych układów skazane są na uwiędnięcie — bez względu na terminy, w których teoretycznie mają obowiązywać. Takie pakty są tylko dorywczymi posunięciami na szachownicy międzynarodowej gry politycznej.

Ale są też i pakty innego rodzaju. Umowy wynikające z najżywotniejszych interesów państw i narodów, pakty, do których się dochodzi nie poprzez kancelarie dyplomatyczne tylko, ale i poprzez walkę i ciężkie zmagania.

Dlatego też w obecnym okresie nie należy wzruszać ramionami nad zabiegami dyplomatów, które uwieńczone zostają suchymi protokółami składającymi się z suchych, dyplomatycznych formułek. Cechą umów międzynarodowych owego złotego okresu dyplomacji Ligi Narodów, Brianda i Stresemana była wielokierunkowość zawieranych traktatów, ich dwuznaczność, fałszywy idealizm, pozbawiony realnych podstaw w działalności państw. Wiele w owym okresie wypowiedziano słów i potępień pod adresem wojny w ogóle, zbrojeń i agresji. Ale były to słowa rzucane w próżnię, słowa za którymi nie przychodziły żadne czyny, lub też przeważnie czyny odwrotne do słów.

UMOWY zawarte w czasach ostatnich i te, które mają być zawarte, pozbawione są idealistycznej frazeologii. Nie ma w nich nic z podnoszenia oczu do nieba, ani nic z misjonarskich gestów. Są to umowy realistyczne. U ich źródła leży krwawe i tragiczne doświadczenie drugiej wojny światowej, a doświadczenie jest jedno: Niemcy są ustawicznym niebezpieczeństwem dla pokoju świata. Pakty te nie mówią o agresji w ogóle, ale mówią o konkretnym agresorze, o potencjonalnym agresorze, którym były i są Niemcy. Bez ogródek, bez omówień i niedomówień pakty te wyraźnie tym jednym słowem, powtarzanym w różnych językach europejskich, dążą do zabezpieczenia narodów przed nową wojną, którą Niemcy mogą znów wywołać.

Londyński „Daily Express" sceptycznie odniósł się do układu, który Bevin i Bidault podpisali w Dunkierce. Londyński brukowiec układ ten uważa za bezprzedmiotowy, gdyż jego zdaniem niebezpieczeństwo niemieckie nie istnieje; a Niemcy są pokonane i okupowane przez armie sprzymierzone. Takie postawienie sprawy jest zasłoną dymną, którą próbuje się rozciągnąć nad istotną rzeczywistością Europy.

Rzeczywistość ta uczy, że żywotność narodu niemieckiego, jego piekielne zdolności organizacyjne i umiejętności organizowania wojen mogą w pewnym układzie stosunków przezwyciężyć wszystkie przeszkody. Tymbardziej, że ani kontrola, ani okupacja nie mogą zlikwidować w szybkim czasie ideologicznego narzędzia wojny, jakim stał się dla Niemców narodowy socjalizm.

I dlatego też po doświadczeniu trzech wojen, którymi Niemcy zakłóciły i zburzyły pokój europejski, nie ma zbyt skrupulatnej, zbyt dokładnej metody zabezpieczenia przed nimi innych narodów, które chcą żyć i pracować w pokoju i w spokoju.

W ten sposób stosunek świata, a w szczególności Europy do Niemców i do zagadnień z nimi związanych układa się na dwóch płaszczyznach. Jedną tworzą te właśnie umowy międzynarodowe mieszczące się w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych, stwierdzające, iż narody w sposób jak najbardziej realistyczny dążą do zabezpieczenia się przed niemiecką agresją. Jest to jakby proces odwrotny od tego, którego szczytem było Monachium. A było ono szczytowym punktem procesu skłócenia i rozproszkowywania państw, będących z natury swej, ze swych najżywotniejszych interesów przeciwnikami Niemiec i potencjalnymi ich ofiarami. Paktami tymi narody mówią do Niemców: „W razie jakiegokolwiek ataku z waszej strony, nie znajdziecie nas już więcej w rozbiciu i w skłóceniu, ale znajdziecie nas wszystkich razem i zgodnych przeciwko sobie". Taka postawa stanowi gwarancję, że nasza cywilizacja, która w toku wojny ubiegłej była o krok od zguby i pogrążenia w przepaści barbarzyństwa, nie będzie już więcej narażona na niebezpieczeństwo.

Tor drugi spraw niemieckich — to urządzanie ich życia wewnętrznego, gospodarczego i politycznego na czas obecny, to montowanie układu, który stanowiłby kodyfikację wszystkich spraw zwycięzców i ograniczonych praw Niemców, wynikających ze sromotnej i zasłużonej klęski. Konferencja Moskiewska, która rozpoczęła się w dniu 10-tym marca, stanowi ważny etap na drodze do ustalenia warunków pokoju z Niemcami. Wydaje się ona najważniejszą po wszystkich konferencjach dotychczas odbytych od czasu Poczdamu. Zebrani wówczas w niespełna trzy miesiące po zawieszeniu broni przedstawiciele Związku Radzieckiego, Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii ustalili pierwsze zasady okupacji, postępowania z Niemcami i zarysowali nowe ich granice. Te granice mają znaleźć potwierdzenie w ostatecznym tekście układu pokojowego.

TEN zakres postanowień poczdamskich ma dla Polski wyjątkowe znaczenie ze względu na to, że dotyczy on nowych zachodnich granic Polski. Trzeba tu przypomnieć, jak brzmiało to postanowienie: „Trzej szefowie rządów są zgodni co do tego, że zanim nastąpi ostateczne określenie zachodniej granicy Polski, dawne ziemie niemieckie na wschód od linii idącej od Morza Bałtyckiego bezpośrednio na zachód pod Swinoujściem i stąd wzdłuż rzeki Odry do miejsca, gdzie wpada zachodnia Nysa i wzdłuż Nysy zachodniej do granicy czechosłowackiej, łącznie z tą częścią Prus Wschodnich, która nie jest umieszczona pod administracją Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, zgodnie z porozumieniem osiągniętym na niniejszej konferencji oraz łącznie z obszarem dawnego Wolnego Miasta Gdańska — będą pod administracją państwa polskiego i w tym celu nie powinny być uważane za część radzieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech".

W dalszych postanowieniach układ poczdamski przewiduje „przesiedlenie do Niemiec ludności niemieckiej pozostałej w Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech". Z tego wynika jasno, że jeśli układ poczdamski nie mówił wyraźnie o ustaleniu granicy Polski na Odrze i Nysie, to tylko dlatego, że nie posiadał on zakresu działania właściwego w tych sprawach. Faktycznie jednak ziemie te oddał Polsce, nazywając je polskimi i zezwalając na wysiedlanie z nich pozostałej ludności niemieckiej. Takie są fakty.

W zakresie tych spraw układ poczdamski wszedł w życie. Jeśli chodzi o włączenie tych ziem do organizmu państwa polskiego został on przez nas całkowicie wykonany, a jeśli chodzi o wysiedlenie Niemców, został on wykonany za zgodą i według planu ustalonego przez Sojuszniczą Radę Kontroli Niemiec.

JEŚLI mówiliśmy na początku o paktach, to dodać należy, że istnieją takie pakty, które są tylko deklaracjami, i takie, które stwarzają nowe sytuacje polityczne, gospodarcze i terytorialne. Do takich układów należy układ poczdamski. Wcielenie Ziem Odzyskanych do Polski nie jest samowolnym czynem naszego rządu i naszego społeczeństwa, ale jest stworzeniem nowej sytuacji w Europie. Ta sytuacja może się Niemcom i niektórym innym ludziom w świecie nie podobać, ale i pakty i fakty mają dla nas niezłomną wartość.

POCZDAM



Uczestnicy Konferencji, która ustaliła zasady postępowania wobec pokonanych Niemiec

(Ciąg dalszy ze strony 2).

Z niedowierzającym uśmieszkiem amerykańska dziennikarka zanotowała odpowiedź. Rzeczywiście, co kraj to obyczaj...

Kanał będzie miał 320 km. długości, będzie dostępny dla statków od 600 do 1000 ton pojemności i będzie przeprowadzony koło miejscowości Koźle — Morawska Ostrawa — Devin.

— Zejdźmy już z tego kanału! — zaproponował w końcu minister Masaryk.

Zaczęto walkować inne tematy. Gdy była mowa o sojuszach czechosłowackich z innymi państwami, dziennikarze dowiedzieli się, że rozpatrywane są obecnie projekty paktów z Bułgarią, Rumunią i Francją. Jeden z tłumaczy pomylił się przy tym i zapowiedział sojusz Czechosłowacji z ... Norwegią!

— Nie, tak daleko nasze ambicje nie sięgają! — zawołał rozbawiony Premier Gottwald.

Na temat projektu podpisania traktatu z Niemcami w Warszawie Premier Gottwald oświadczył, iż solidaryzuje się z Polską w tej sprawie. — Byłoby to symbolem dobrego pokoju — oświadczył Premier Gottwald. — Ale musi to być również dobry traktat! — dorzucił.

Gdy ciekawscy korespondenci zagraniczni niedyskretnie dopytywali się o ujednolicenie rodzajów broni wojsk obu krajów, jeden z czeskich gości zauważył dowcipnie:

— Nie, nie posunęliśmy się jeszcze tak daleko, jak Anglia i Ameryka!

Pewien dziennikarz amerykański w sposób dość natarczywy dopytywał się dlaczego Polska i Czechosłowacja nie podpisały sojuszu dwa lata temu. Gdy chciał bliżej wyjaśnić swe pytanie, minister Masaryk przerwał mu, śmiejąc się:

Niech pan nie wyjaśnia, ja wiem, o co panu chodzi. Podpisaliśmy go teraz, to znaczy, że mogliśmy podpisać i dwa lata temu. Ale zna pan przysłowie czeskie... — tu minister Masaryk zacytował przysłowie, które odpowiada polskiemu „co się odwlecze, to nie uciecze!"

Premier Gottwald dodał, że podpisanie traktatu właśnie w dniu rozpoczęcia Konferencji Moskiewskiej jest zademonstrowaniem wobec mocarstw jednomyślności obu naszych narodów w sprawie Niemiec.

Dziennikarze zagraniczni byli również ciekawi, czy kwestie terytorialne między Polską i Czechosłowacją będą łatwiejsze do rozwiązania obecnie, niż były dotychczas.

— Że są możliwe do rozwiązania, świadczy o tym sam fakt podpisania sojuszu. Inaczej nie podpisywalibyśmy! — otrzymali krótką i zwięzłą odpowiedź.

Pesymiści i optymiści

W krajach anglosaskich lubią pomawiać nas Polaków o to, że przesadzamy w malowaniu niebezpieczeństwa hitlerowskiego, jednocześnie niesłusznie przeceniając istniejące w tych krajach sympatie dla Niemców. Wszędobylski instytut Gallupa zajął się w jednej ze swych wielu ankiet również tym zagadnieniem. Oto odpowiedź, jaką daje na podstawie zebranych opinii.

W Kanadzie 41% zapytanych usposobionych było życzliwie dla Niemców, a w Stanach Zjednoczonych aż 45%, podczas gdy odsetek osób nastawionych nieprzyjaźnie wynosił w obu państwach tylko 28%. W Anglii stan jest zbliżony: 42% życzliwych — 36% nieżyczliwych.



— A czy woda nie jest zimna?
(„Les Lettres francaises"—Paryż)

tak i nie

Ale Gallup zapytał się również w pięciu krajach zachodnich, co sądzą o przyszłości Niemiec: czy staną się istotnie państwem demokratycznym, czy też odrodzi się odwieczny duch agresji i imperializmu? Optymiści odnieśli zastraszającą klęskę. W przyszłość demokratyczną Niemiec wierzy w Anglii, Kanadzie i Stanach Zjednoczonych od 20 do 23%, we Francji 10%, a w Holandii 14%. Francuzi i Holendrzy są zgodni w swych obawach przed odrodzeniem się agresji Niemiec — 63% zapytanych wypowiedziało ten pogląd, a nawet Amerykanie i Kanadyjczycy podzielają to zdanie większością 58%. Największymi optymistami okazali się Anglicy — tylko 43% wierzy, że Niemcy ujawnią znów apetyty napastnicze.

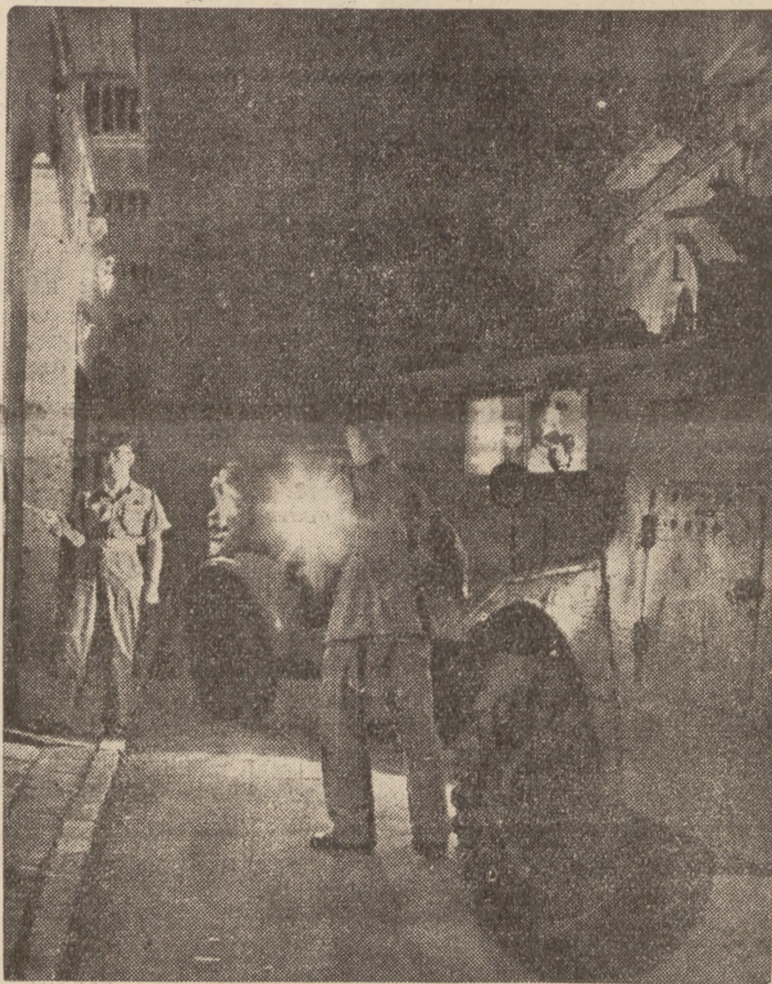
Pewien tygodnik francuski, omawiając tę sprawę, zapytuje dlaczego instytut Gallupa nie przeprowadził również ankiety na terenie Czechosłowacji i Polski?

nej. Innymi słowy wielkorządcy Ruhry i jej potencjału staliby się znów panami całych Niemiec. Nie trzeba chyba przypominać, jakim duchem ożywiona jest strefa angielska, w której znajduje się nie tylko Zagłębie Ruhry, ale i rezerwuar nieprzejednanych militarystów i imperialistów niemieckich. Jedność polityczna Niemiec jest korzystna dla Polski, gdyż umniejszy wpływy baronów przemysłowych.

Murzyńskie dzieci

Czarni żołnierze armii amerykańskiej, która stacjonowała w czasie wojny w Wielkiej Brytanii, pozostawili po sobie poważny problem społeczny w postaci 600 dzieci o ciemnym zabarwieniu skóry. Matki tych dzieci, po części kobiety zamężne, których mężowie powrócili po trudach wojny do zbeszczeszczonego ogniska domowego,

W PALESTYNIE WRE



Żołnierze angielscy w czasie nocnej obławy w Jerozolimie

Dlaczego jedność polityczna Niemiec?

Rząd polski w swoim memorandum w sprawie przyszłego traktatu pokojowego z Niemcami, wypowiedział się za utworzeniem jednolitego organizmu państwowego Niemiec. Wielu Polakom decyzja ta wydawała się zbyt korzystna dla naszego nieprzyjaciela. Dlatego też nie taili swej sympatii dla francuskiej koncepcji, która podobnie jak anglosaska zmierza do politycznego rozdrobnienia Niemiec, przy utrzymaniu jedynie gospodarczej jedności. Pogląd taki jest z gruntu fałszywy i oparty na błędnych przesłankach.

W czasach nowożytnych, a szczególnie w naszym wieku, o polityce decyduje przede wszystkim siła ekonomiczna danego kraju. Gdyby więc podzielić Niemcy na prowincje samodzielne politycznie, to te spośród nich, które dysponują surowcami i silnie rozwiniętym przemysłem, zdobyłyby bezapelacyjną hegemonię nad całością, nie ponosząc odpowiedzialności polityczn-

pragnęły za wszelką cenę pozbyć się dowodów zdrady. Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że większość mężów przebaczyła niewiernym małżonkom, za cenę usunięcia czarnoskórych dzieciaków z domu. W teorii jest to proste, w praktyce trudne do wykonania.

W humanitarnej Anglii, opłakującej rzewnymi łzami i wielką ilością darów biedne dzieci niemieckie, żaden czcigodny lord nie zainteresował się maleństwami, które choć mają nieprawomyślny kolor skóry, są pełnoprawnymi obywatelami Zjednoczonego Królestwa. Uczynił to niepozorny murzyński pastor, osiadły w Liverpoolu, nazwiskiem Ekarte, opierając swoją działalność na dobrowolnych datkach bez żadnej oficjalnej pomocy finansowej. Aby zadokumentować, że ze swej strony nie uznaje przesądów rasowych, otoczył swoją opieką również niepożądane dzieci nieślubne całkowicie białe. Bo w Anglii przecież nie ma przesądów rasowych!

Syrena-mańkut



J. Iwaszkiewicz opuścił redakcję „Nowin Literackich"

Niewątpliwie źle by to świadczyło o dobrym wychowaniu warszawskiej Syreny, gdyby odwróciła się tyłem do tak poważnego pisma, jakim będą mające się ukazać wkrótce „Nowiny Literackie".

Wobec tego Syrenka machnęła ogonkiem i odwróciła się wbrew ustalonej tradycji przodem — zarówno do „Nowin" jak i do ich czytelników. Zwrócił mi na to uwagę mój znajomy gazeciarz, Antek Cwaniak, który zdradza wielkie zamiłowanie do samokształcenia i w chwilach wolnych od biegania z gazetami, czyta uważnie kolportowane przez siebie pisma. W pismach tych od dłuższego czasu ukazuje się jako zapowiedź nowego tygodnika — jego winieta tytułowa w zmniejszeniu. Faktycznie, patrzę na winiecie — Syrena frontem do mas stoi.

— Ino, co... — Antek frasobliwie przesunął czapkę na bakier — ta serena to śmaja...

— Co??? — pytam ze zdumieniem.

— A no, śmaja, mańkut po warsiasku znaczy. W prawem ręku tarczę, a w lewem miecz trzyma. Inaczej, jak dotąd bywało...

Przyglądam się — rzeczywiście. Może jej ręka ścierpła, tyle wieków ciągle w tym samym ręku miecz wzniesiony trzyma?

Następnego dnia, przechodząc Wybrzeżem Kościuszkowskim, spotkałam Antka i całą „ferajnę" jego kolegów, którzy, mając należyte zaufanie do tego, co w gazecie stoi, w rozterce przyglądali się obywatelce Syrenie, spozierającej z rozmarzeniem ze swego postumentu w stronę dalekiego Bałtyku.

Obawiam się, że urwisy noszą się z zamiarem przemeblowania syreniego miecza i tarczy, aby nie było rozbieżności między literaturą i rzeczywistością, względnie sporu między siostrą — strażniczką i siostrą — poetką. W każdym razie jedna ustąpić musi. Ale która?

Denazifikacja

7 lutego 1947 r. „Deutscher Pressedienst", oficjalna agencja prasowa, podała następujący komunikat: „Nie ma żadnych oznak przemawiających za istnieniem jakiegokolwiek zorganizowanego ruchu narodowo - socjalistycznego na terenie Bawarii" — powiedział amerykański gubernator wojskowy Niemiec, gen. McNarney na konferencji prasowej we Frankfurcie. Gen. McNarney wspomniał o sporadycznych wystąpieniach przeciwko władzom okupacyjnym, o nielegalnych plakatach, przecinaniu linii telekomunikacyjnych i rysowaniu kredą swastyki na prawie każdym domu. W związku z tym generał dodał: „W ciągu ostatnich ośmiu czy dziesięciu miesięcy spodziewałem się działalności wywrotowej i jestem zdziwiony, że nie występuje ona w silniejszej mierze". Postępy denazifikacji określił gen. McNarney jako bardzo obiecujące.

Tyle oficjalny komunikat parsowy ze strefy amerykańskiej

Przedstawiciel brytyjskiego zarządu wojskowego gen. Bishop, na konferencji prasowej odbytej w tym samym dniu, był znacznie ostrożniejszy. Powiedział po prostu, że „celem zarządu wojskowego i władz niemieckich jest możliwie szybkie przeprowadzenie akcji de nazifikacyjnej i zakończenie jej raz na zawsze".

W dziesięć dni potem dokonano masowych obław i aresztować, aby jak podał komunikat — zlikwidować największy od chwili zakończenia wojny spisek hitlerowski, którego rozmiary dowodzą dobitnie, że musiały być poważne luki w akcji denazifikacyjnej, z której gen. McNarney był tak zadowolony, a której ostateczne zakończenie gen. Bishop skwapliwie zapowiadał. Luki tak poważne, że trudno się oprzeć wrażeniu, że istotnie zamiast, a w najlepszym wypadku równolegle do akcji denazifikacji odbywał się proces odrodzenia hitleryzmu w jego najniebezpieczniejszej formie, odbywała się po prostu renazifikacja.

POLONIA AMERYKAŃSKA

JEJ OBLICZE JEJ SERCE JEJ POLITYKA

NAPISAŁ **JERZY KIRCHMAYER**

II. Jej serce

JEST w życiu amerykańskiej Poloni charakterystyczne zjawisko, które od dawna było powodem największej troski i niepokoju. Jest to amerykanizacja Polonii. Nie bierzmy tego zbyt tragicznie. Od jakże dawna słyszymy proroków, którzy kładą Polonię nieodwołalnie i w najkrótszym czasie do trumny. Minęły wszystkie terminy, a Polonia trwa i jest polska. Ci, którzy ją dobrze znają, mówią, że właśnie dzisiaj święci wielki renesans polskości i patriotyzmu. Ale byłoby nadmiernym optymizmem sądzić, że amerykanizacja nie czyni Polonii większych krzywd, a wzamian atakuje inne nacje. Polonia gotuje się w amerykańskim rondlu i amerykanizuje w sposób rzucający się w oczy. Dzisiaj — bardziej niż kiedykolwiek indziej.

Kiedy bowiem Polonia wyjrzała na Nowy Świat ze swych zapadłych parafii, ze swych dzielnic miejskich, odciętych jakimś niewidocznym ale jednak mocnym murem polszczyzny, to nadbiegające zewsząd fale amerykanizacji uderzyły w nią z niespotykaną siłą. Największe spustoszenia szerzy amerykańska szkoła, bo atakuje to, co jest najbardziej podatne, a jednocześnie najbardziej cenne — polską młodzież. Minęły już bezpowrotnie czasy, kiedy to szczytem wykształcenia przeciętnego Polonisty była polska szkoła parafialna. Dzisiaj młodzież pcha się do średnich i do wyższych szkół, które rzadko są polskie, a coraz częściej amerykańskie. W ten sposób młodzież polska zespala się z amerykańską i w ten sposób dzisiejsza Polonia jest już podzielona na dwie wyraźne, różne części — na starych i młodych. Starzy bądź urodzeni jeszcze w Polsce, bądź jeszcze wychowani w polskich parafiach są ostoją polskiego ducha. Mówią gorzej lub lepiej ale po polsku i tęsknią do Polski. Młodzi mówią po angielsku i pomiędzy sobą i z rodzicami. Nie wszyscy, ale widoczna większość. Po prostu nie umieją już mówić po polsku, albo brak im aż tylu wyrazów, że mówienie staje się zbyt kłopotliwe.

Na straży polskości stoją starzy i tylko starych widzicie na polskich wiecach, akademiach i zebraniach. Tylko starzy czytają polskie dzienniki i polskie książki i przeważnie tylko starzy czynni są w polskich związkach i towarzystwach. Młodzi stanowią w tym wszystkim raczej wyjątki.

LECZ jeżeli to charakterystyczne zjawisko uderza boleśnie i od razu przybysza z Polski, to równocześnie uderza go gorący patriotyzm Polonii. Zapewne, nie jest to już ten żywiołowy pęd do Polski, który kiedyś sprawił, że amerykańscy ochotnicy wypełnili armię hallerowską, a potem inni polscy Amerykanie wracali nad Wisłę z wielkimi kuframi i z dolarami.

Dzisiejszy pęd do Polski nosi inny charakter. Przecież tamte imprezy skończyły się fiaskiem, Hallerowscy ochotnicy wrócili bez zaopatrzenia i pokrzywdzeni w porównaniu do tych ochotników, którzy walczyli w szeregach amerykańskich i o których losy zatroszczył się porządnie rząd Stanów. Reemigranci z kuframi i dolarami dostali się w ręce naszych rodzimych kanciarzy i tylko niewielu utrzymało się w Polsce. Reszta powróciła do Stanów z głośnym lamentem. Cóż dziwnego, że kiedy w czasie drugiej wojny światowej Sikorski zwrócił się z gorącym apelem o zasilenie ochotnikami polskiego wojska emigracyjnego, Polonia odpowiedziała milczeniem. Starzy byli po prostu za starzy, a młodzi — to byli już tylko Amerykanie polskiego pochodzenia i nie widzieli w tym żadnego byznesu, natomiast widzieli wyraźny byznes w służbie w wojsku amerykańskim.

Czy z tego wynika, że patriotyzm dzisiejszej Polonii jest tylko marniejszego gatunku? Nie — tylko patriotyzm ten mierzył się zawsze miarą starych, a nie młodych. To starzy ciągnęli i ciągną młodych do służby i do ofiar na rzecz Polski, Ale starych jest coraz mniej, więc i służby Polonii są mniej żywe i bardziej amerykańskie.

SKORO jednak Polonia nie odpowiedziała na wojenne apele Sikorskiego, to nie pożałowała ofiar materialnych. Od października 1939 roku do dzisiejszego dnia Polonia znajduje się pod nieustannym obstrzałem próśb o pomoc. Płyną one nie tylko z Anglii, Szkocji i różnych egzotycznych kolonii anglosaskich, do których losy zapędziły Polaków, a przede wszystkim polskie dzieci. Pomoc Polonii płynie także dla Polaków w Niemczech i we Włoszech. Ale pomoc dla Polaków w Polsce wysunęła się na pierwszy plan i jest najbardziej popularna. Nie powstrzymały jej przedśmiertne wołania Ignacego Matuszewskiego, że to jest zatruty chleb, którym podtrzymuje się radziecką dyktaturę w Polsce, nie pomogły chytre ostrzeżenia Kongresu Polonii — tej najwyższej instancji politycznej Amerykanów polskiego pochodzenia — że wysyłane do Polski paczki, lekarstwa, konie jadą prosto do Tuły i innego Kazania. Zwyciężył zdrowy rozsądek Polonii i głęboka troska o braci w Polsce.

Tymbardziej, że wnet zaczęły napływać listy i potwierdzenia odbioru. I szkoda, że ten, który powątpiewa w szczere i bezinteresowne przywiązanie Polonii do Polski, nie może dojrzeć radości, jaką sprawia otrzymanie listu z Polski. Zresztą nie chodzi tylko o paczki do Polski i listy z Polski. Rodaków zza oceanu obchodzi wszystko, co się dzieje u nas. W rozmowach i na wiecach dopytują się o to, co ich szczególnie raduje i boli. Szukają potwierdzenia swych domysłów, pragną uczciwego zaprzeczenia nieprawdy, którą propaganda usiłuje wszystkimi porami wpompować do ich świadomości. Musimy przecież zdać sobie sprawę, że Polonia jest w podwójnym ogniu propagandy. Jeden — to wszystko, co płynie z ośrodków emigracji wrześniowej, drugi — to wszystko, co płynie z tych kół, które mówią, że Polska jest radziecką ekspozyturą czy też XVII radziecką republiką.

W ten sposób jest przecież możliwe, że skoro sterany podróżny wyląduje wreszcie w New Yorku i pójdzie do polskiego kościoła, to czcigodny proboszcz zapyta go, gdzie modlą się ludzie w Polsce, bo przecież albo kościoły są pozamykane albo księża wywiezieni na Sybir. Albo na wiecu spytają się przybysza z Polski, czy to prawda, że nad polskimi urzędami powiewają flagi radzieckie.

Te napozór naiwne pytania, kryją w sobie coś niezmiernie ważnego. Jest to głęboka troska Polonii o przyszłość Polski. Polonia chce wyrobić sobie prawdziwe zdanie o naszych sprawach, bo obchodzą ją do głębi i urastają do najważniejszych zagadnień świata. Skoro nie zgadzają się te historie z XVII republiką, Tułą i Kazaniem, to co się zgadza?

Zresztą Polonię po staremu żera tęsknota do Polski. Przecież Polak jechał do Ameryki jakby na jakieś dalsze Saksy. Chciał tam dorobić się pieniędzy i wrócić do kraju. Gdy powrót okazał się praktycznie niemożliwy, wkłada swą tęsknotę do Polski w pomoc, którą ładuje w paczki i okrętem śle do Polski. Przecież zgłaszali się do mnie tacy, którzy w ciągu 1946 roku wysłali do Polski 180 paczek, a już wielu było takich, którzy wprawdzie nie osiągnęli aż takiego rekordu, ale mają na swoim sumieniu po 150 paczek i jeszcze jednego konia w dodatku.

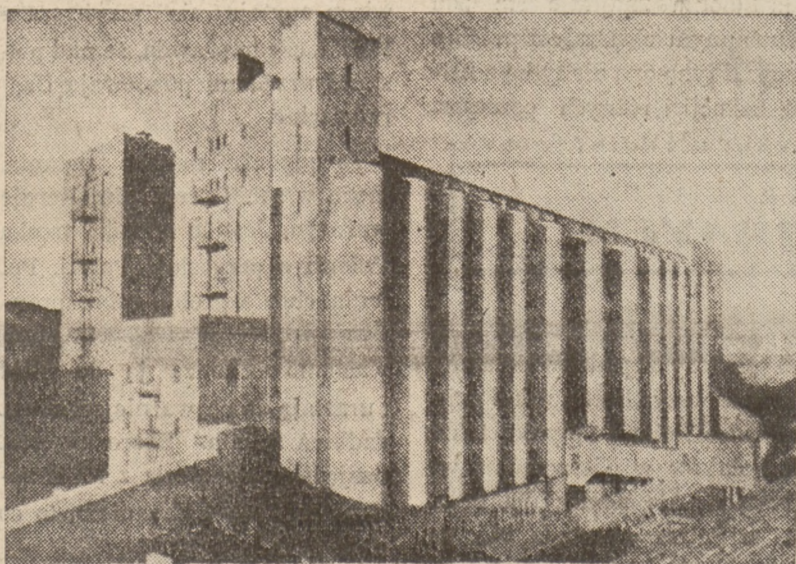
TOTEŻ kto był w Stanach i kto zetknął się z tamtejszymi Polakami bezpośrednio, a nie tylko poznał ich z gazet i powieści, ten na zapytanie — co to jest ta dzisiejsza amerykańska Polonia, odpowie bez zająknienia: „to są dzielni Polacy, którzy walcząc ciężko w Stanach o lepszy standart życia, sercem są ciągle w Polsce".

U PÓŁNOCNEGO SĄSIADA

PRACA I OSIĄGNIĘCIA SZWEDZKIEJ SPÓŁDZIELCZOSCI



Spółdzielcza fabryka żarówek w Sztokholmie



Wielkie młyny w Goeteborgu

Szwecja jest krajem, który z wielu względów zwraca na siebie uwagę. Zastanawia nas nie tylko piękna natura, ale również wysoki poziom kultury społecznej i gospodarczej. Warunki długotrwałego pokoju umożliwiły Szwecji osiągnięcie w tej dziedzinie wspaniałych rezultatów, jednak nie były one jedyną przyczyną. Wysoki poziom osiągnięty został wysiłkiem całego społeczeństwa. Jednym z istotnych twórczych elementów tego wysiłku zbiorowego jest niewątpliwie szwedzka spółdzielczość.

Dzisiaj chcemy kilka słów poświęcić szwedzkiej produkcji spółdzielczej, prowadzonej przez Szwedzki Związek Spółdzielni Spożywców „Kooperativa Förbundet" zwany w skróceniu „K. F.".

Zwiedzamy fabrykę margaryny. Z zewnątrz monumentalna budowla, po wejściu zadziwia nas przestronnością, jasnością i idealną czystością. Olbrzymia hala, w której odbywa się pakowanie, pełna jest światła i ruchu. Oglądamy wspaniałe urządzenia higieniczne fabryki i środki bezpieczeństwa pracy. Wrażenie ogólne jest doskonałe.

Spółdzielcy szwedzcy opowiadają nam historię powstania tej pierwszej fabryki związkowej. W roku 1921 Związek zdecydował jako pierwszy zakład przemysłowy uruchomić fabrykę margaryny i w ten sposób złamać kartel, który dyktował, w tak poważnym i rozpowszechnionym na rynku szwedzkim produkcie, wysokie ceny, nieuzasadnione istotnymi kosztami produkcji. Próba udała się, choć walka była trudna i ciężka. Kartel usiłował zbojkotować przedsięwzięcie Związku, jednak w rezultacie Związek nie tylko wymusił obniżkę cen margaryny, ale również doprowadził do wzrostu jakości produktu, w porównaniu z margaryną produkowaną przez kartel.

Podobnie wyglądała historia z dalszym przedsięwzięciem Związku, a więc uruchomienie w 1932 r. w Karlshamn olejarni jako zakładu uzupełniającego fabrykę margaryny.

Rok 1922 i 1924 przynoszą uruchomienie dwóch wielkich młynów spółdzielczych. „Tre Kronor" czyli „Trzy Korony" na wyspie Kvarnholmen przy wejściu do portu w Sztokholmie oraz „Tre Lejon", tzn. „Trzy Lwy" w Goeteborgu. Młyny te podobnie jak i inne zakłady olśniewają nas nowoczesnością urządzeń i idealnymi warunkami higienicznymi.

Następne przedsięwzięcia połączone również ze zwycięską walką z kartelami — to uruchomienie gigantycznych fabryk obuwia i kaloszy.

Uruchomienie Młyna „Trzy korony" na wyspie pod Sztokholmem daje początek zagospodarowania wyspy dalszymi spółdzielczymi zakładami produkcyjnymi. Wyspa stanowi obecnie własność Związku i jest zbiorowiskiem szeregu spółdzielczych zakładów wytwórczych.

Najciekawszą imprezą jest uruchomienie przed wojną fabryki żarówek. Fabrykę uruchomił Związek Spółdzielni Krajów Północnych „Luma". Poza fabryką w Sztokholmie analogiczna fabryka pracuje w Oslo — w Norwegii. W ten sposób inicjatywa spółdzielcza wychodzi poza granice państwa i dąży do złamania międzynarodowego kartelu w handlu żarówkami. W Szwecji cena żarówki 25-wattowej obniżona została przez produkcję spółdzielczą z 1,35 na 0,80 korony w przeciągu zaledwie kilku miesięcy.

Zaznaczyć należy, że produkcja spółdzielcza cieszy się w Szwecji ogromną popularnością i zaufaniem konsumentów, gdyż jakość wyrobów spółdzielczych stoi na najwyższym poziomie. Zjawisko to jest wynikiem celowego działania w interesie szerokich rzesz ludności, opartego na starannie przemyślanym planie produkcji. Fabryki spółdzielcze w Szwecji zdumiewają nas nowoczesnością i rozmachem urządzeń oraz jednakową dbałością zarówno o urządzenia techniczne jak i o higienę i bezpieczeństwo pracy.

Toteż szwedzcy spółdzielcy z dumą podkreślają, iż w rozwoju produkcyjnej działalności swego związku, kierują się następującymi zasadami: 1) finansowania nowych inwestycji tylko własnymi środkami ruchu spółdzielczego i raczej wstrzymania się z akcją interwencyjną, jeśli miałaby ona spowodować zadłużenie się spółdzielczości, 2) podejmowanie tylko tych inicjatyw wytwórczych, które w ramach Związku mogą być prowadzone z punktu widzenia technicznego lepiej lub przynajmniej na takim poziomie jak najlepsze fabryki danej branży w kraju, 3) zeŚrodkowanie wszelkich wysiłków wytwórczych na poszczególnych artykułach masowej konsumcji, aby w ten sposób móc decydująco wpływać w danym zagadnieniu na rynek a nie rozpraszać swych wysiłków na liczne zagadnienia, w których spółdzielczość nie mogłaby mieć decydującego głosu.

J. Wir.



Fabryka margaryny Związku Spółdzielczego w Norrköping



Wnętrze fabryki margaryny

Film TYGODNIA

WIELKIE DNI WARSZAWY



Minister Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytani Ernest Bevin zatrzymał się w przejeździe do Moskwy na kilka godzin w stolicy Polski. Goście angielscy oglądają ruiny Warszawy.



Następnego dnia złożył wizytę u ministra spraw zagranicznych Francji — Georges Bidault. Oto państwo Bidault na stopniach kościoła św. Krzyża.



Delegacja Rządu Czechosłowackiego przybyła do Warszawy celem podpisania paktu o przyjaźni i wzajemnej pomocy. Na zdjęciu premier Gottwald przemawia do mikrofonu po przybyciu na Dworzec Główny. Obok premier Cyrankiewicz.



Zimowa panorama Rynku Starego Miasta.



Premier Gottwald witany serdecznie przez ludność przejeżdża ulicami stolicy



Widok ruin Zamku Królewskiego w Warszawie.

(Fot. Film Polski).



Naczelny dowódca wojsk czechosłowackich Gen. Svoboda przybywa na defiladę na Placu na Rozdrożu.

(Fot. Film Polski).

Karol Małcużyński

JAK KRÓL ANGIELSKI SPÓŹNIŁ SIĘ DO KINA

W ostatnich dniach prasa doniosła, że w ramach umowy filmowej polsko - angielskiej nadejdzie do nas szereg nowych filmów. Wśród tytułów wymieniono skromnie na ostatnim miejscu: „A matter of life and death“ — „Kwestia życia i śmierci“.

Dziwny to film i niebanalny. Nie na ostatnim, a na pierwszym miejscu należało go wymienić. Ma on już dziś swoją historię, a zaczęła się ona jeszcze przed jego pierwszym pokazem.

„Cezar i Kleopatra“

Gdy byłem we wrześniu ub. r. na pierwszym międzynarodowym festiwalu filmowym w Cannes, obok gigantycznej reklamy filmów amerykańskich ruszyły do propagandowego natarcia wytwórnie angielskie. Mówiło się przy tym głównie o dwóch obrazach.

Pierwszy z nich to „Cezar i Kleopatra“, który z ogromnym zapałem reklamowano jako „reprezentacyjny film Wielkiej Brytanii“, zasypując prasę i publiczność ulotkami, prospektami i wzmiankami o tym, ile to milionów funtów wydano na produkcję, ile to tysięcy statystów bierze w nim udział, ile to miesięcy czy tam lat film kręcono, z jakimi trudnościami walczyła specjalna ekspedycja wysłana do Egiptu. Scenariusz i dialogi opracował za bajońskie honorarium Bernard Shaw, zaangażowano najlepszych artystów z Claude Rainsem, Vivianą Leigh i Stewartem Grangerem na czele, nakręcono film w „rewelacyjnej“ technice kolorowej — słowem byliśmy oszołomieni i pełni podziwu, dopóki... nie obejrzeliśmy tego cuda.

Co tu dużo gadać? Film zrobił generalną klapę i okazał się ogromnie kosztownym kiczem. Połowa publiczności wyszła z sali przed ukończeniem seansu. Po zapaleniu światła okazało się, że znakomita większość pozostałej, wytrwałej połowy smacznie śpi.

Wola króla

Anglicy mieli bardzo kwaśne miny i byli wściekli. Jedyną ich nadzieją pozostał drugi obraz — właśnie „A matter of life and death“. On miał uratować renomę brytyjskich filmowców.

I z całą pewnością uratowałby, gdyby nie to, że go po prostu do Cannes nie przysłano.

W prasie ukazał się krótki komunikat, zawiadamiający, że His Majesty The King, król Jerzy VI wyraził życzenie obejrzenia osobiście obrazu pt. „Kwestia życia i śmierci“.

Jasnym się stało, że zwykli śmiertelnicy nie mogą go oglądać przed królem. Pokaz filmu w Cannes wstrzymano i przełożono datę premiery w kinach londyńskich.

Traf zrządził, że późną jesienią, gdy w Londynie znów wypłynęła sprawa tajemniczego filmu, znalazłem się w Anglii.

Zapowiedziano uroczyście premierę w reprezentacyjnym kinie Londynu „Empire Theater“. A właściwie nie premierę, lecz specjalny, uroczysty pokaz, na którym — rzecz niesłychana i zdarzająca się w historii Anglii po raz pierwszy — obecny będzie król, królowa, księżniczki i cała panująca rodzina. Wszystkie dzienniki pisały wielkimi czcionkami: His Majesty The King — po raz pierwszy w kinie. Istotnie Jerzy VI dokonał tego, czego nie mógł dokonać ani Ryszard Lwie Serce, ani królowa Wiktoria, ani nawet obecny książę Windsoru za czasów swego panowania.

Już w przeddzień zapowiedzianego ewenementu, na ulicach, którymi miał przejeżdżać król, zaobserwować można było przezornych londyńczyków, którzy przychodzili ze składanymi krzesełkami, kocami, prowiantem — ba! nawet z czajnikiem do herbaty i maszynką — by „zająć miejsca“ i by jutro móc zobaczyć króla, który — słuchajcie! słuchajcie! jak Anglia Anglią po raz pierwszy, udaje się do publicznego, londyńskiego kina.

Przezorni mieli rację. Następnego dnia po południu, na trasie przejazdu zaczęły się rozgrywać dantejskie sceny. Łamano ręce i nogi, deptano ludzi, przybyły zaalarmowane specjalne rezerwy policji, by utrzymać ład i porządek. Nie udało się to zacnym „Bobbim“.

Imperium Wielkiej Brytanii zadrżało w posadach! Walki w Palestynie, rozruchy głodowe w Indiach, zatargi z Egiptem — wszystko to usunęło się w umysłach przeciętnych Anglików na plan dalszy.

K r ó l s i ę s p ó ź n i ł!

Zrozumiałe, że już ten fakt epokowy wystarczył, by wzbudzić olbrzymie zainteresowanie filmem „A matter of life and death“.

A film wart jest tego i z innych powodów.

...a lotnik RAF‘u do nieba

Po raz pierwszy w historii...

Przez wiele dni później prasa brytyjska notowała listy ofiar tego dnia: pobitych, na wpół uduszonych, zemdlonych i stratowanych. Kordony zostały przerwane, tłumy zalały ulice i... stała się rzecz niebywała, nienotowana od setek lat.

K r ó l a n g i e l s k i s p ó ź n i ł s i ę. Orszak królewski, zatrzymywany co krok przez podnieconych i manifestujących londyńczyków, dotarł do gmachu kina z półgodzinnym blisko opóźnieniem. Król angielski, który nigdy i nigdzie nie spóźnił się ani o minutę — przyjechał o pół godziny za późno.

Sam scenariusz, sama fabuła jest niezwykle ciekawie i oryginalnie pomyślana.

A oto treść filmu

Oto płonący samolot. Wraca z raidu nad Niemcami. Nad Kanałem zaskoczyli go Niemcy. Pilot został zabity. W płonącym aparacie znajduje się obserwator. Jest skazany na śmierć — nie ma spadochronu. I choć samolot w płomieniach dolatuje już do brzegów Anglii — cóż go może uratować? Płomienie dochodzą do zbiornika z benzyną.

Ranny obserwator nawiązuje łączność radiową z najbliższym lotniskiem. Rozmawia z młodą telefonistką amerykańską, która pełni tam przy RAF'ie swą służbę. Melduje jej o swojej sytuacji, o zabiciu pilota, o pożarze samolotu. Ogarnia go jakiś wisielczy humor i zaczyna przez radio z dziewczyną flirtować.

Oto początek filmu.

W ostatniej chwili przed upadkiem pilot zeskakuje — bez spadochronu! i... cudem ratuje się, spadając w fale morza. Gdy fale wyrzucają go na brzeg, gdy odzyskuje przytomność jest przekonany, że znajduje się na... tamtym świecie. Tym więcej, że po niedługiej chwili spotyka amerykańską telefonistkę, z którą nie tak dawno żegnał się przez radio, żegnając się zarazem z życiem.

Między młodymi, którzy poznali się w tak niezwykłych okolicznościach, zawiązuje się uczucie.

Lecz oto... akcja filmu przenosi się nagle do nieba! Tak jest, do nieba! Widzimy przedsionek niebieski, rozmawiamy z aniołem, który rejestruje meldujące się dusze. Prawie wszystkie — to wojskowi, lotnicy, marynarze — trwa przecież najstraszniejsza z wojen.

W przedsionku niebieskim niecierpliwie spogląda na zegar pilot samolotu, który właśnie niedawno, płonąc, spadł na wybrzeża Anglii. Pilot złożył meldunek aniołowi o rannym obserwatorze, który znajdował się bez spadochronu, w aparacie ogarniętym płomieniami. Nie ulega żadnej wątpliwości, że za chwilę jego towarzysz powinien się tu znaleźć. Nie miał żadnych, ale to żadnych szans na uratowanie się. Samolot już spadł, a tego jak nie ma tak nie ma.

Niezwykły wypadek budzi w niebie poważne poruszenie. Takie rzeczy jeszcze się nie zdarzały. Każdy ma swoją wyznaczoną godzinę przyjścia tutaj, niedbalstwo i niepunktualność są karygodne i nie mogą ujść płazem. Nie kpi się z władz niebieskich.

Po dłuższej naradzie zostaje delegowany na ziemię wysłannik, arystokrata francuski, zgilotynowany w okresie Wielkiej Rewolucji. On ma odszukać zuchwałego i niepunktualnego lotnika, ma go sprowadzić do nieba.

Akcja przerzuca się znów na ziemię, na ekranie jaśnieje cała gama barw Technicoloru (fragmenty „ziemskie“ bowiem sfilmowane są techniką kolorową, sceny zaś w niebie — normalną techniką filmu biało-czarnego).

Wysłannik nieba odnajduje delikwenta przy boku ukochanej. Przemawia do niego. Czas zatrzymuje się, liście przestają poruszać się na drzewach, wiatr ucicha, życie zamiera. Wysłannik nieba tłumaczy lotnikowi jego przestępstwo, nakłania go do dobrowolnego zgłoszenia się w niebie. Oszołomiony początkowo Anglik słyszeć o tym nie chce. Nie będzie odpowiadał za błędy kartoteki na tamtym świecie. Tu, na ziemi, zaciągnął nowe zobowiązania, pokochał tę dziewczynę i nie porzuci jej dobrowolnie.

Zaczynają się perypetie między ziemią i niebem. Gdy lotnik po odejściu dziwnego gościa opowiada swojej ukochanej o niezrozumiałej rozmowie — ta jest przerażona. Oczywiście — halucynacja! Te straszliwe przeżycia, rana i upadek z samolotu musiały zostawić swój ślad, zakłócić jasność umysłu.

Radzi się swego serdecznego przyjaciela, a znakomitego psychiatry. Postanawiają obserwować chorego.

Niebo nie daje za wygraną, ponawia wezwanie, francuski arystokrata znów zjawia się u lotnika. Psychiatra stwierdza, że halucynacje się powtarzają. Trzeba przedsięwziąć środki zaradcze.

(Ciąg dalszy na stronie 12)



Artyści angielscy po premierze filmu „A matter of life and death“ przedstawieni zostają królowej Elżbiecie i królowi Jerzemu VI.



Scena z filmu „A matter of life and death“. Schody, którymi umarli muszą przejść z tego świata do świata pozagrobowego.

KONGRES WE FLORENCJI

(Opowiadanie historyczne)

Napisał
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
Ilustrowała Irena Kuczborska

Pan radca Maliński był bardzo wielki w stosunku do swoich podwładnych, bardzo pokorny w stosunku do przełożonych. I wobec tego, że siedział teraz przed biurkiem pana naczelnika bardzo uprzejmie i pokornie patrzył czarnymi, wilgotnymi oczami w niebieskie, „poetyckie“ wypukłe oczy pana naczelnika. Ograniczał się do powtarzania jak tylko potrafił najuprzejmiej służbowych wyrazów:

— Tak jest, panie naczelniku!... Tak jest.

Tymczasem dzisiaj pan naczelnik udawał, że nie lubi tego oficjalnego tonu. Bywały takie dnie, że pan naczelnik przybierał roztargniony wygląd, rozrzucał kopę włosów na głowie, które zazwyczaj były gładko uczesane i krzywił się na tytułomanię, która dotychczas panowała w ministerstwie bezkarnie. Przypominał sobie wówczas i chciał, żeby inni też pamiętali — że z fachu był niedoszłym literatem. Właściwie mówiąc, jest jeszcze literatem i gdyby zechciał...

Radcy Malińskiego naczelnik nie lubił za to, że pomimo referatów poszczególnych krajów, które Maliński prowadził po kolei — teraz był referentem ustrojów międzynarodowych — pisał naprawdę dobre wiersze i nawet ukradkiem i z ukrywanym strachem drukował je po czasopismach literackich.

W tej chwili jednak siedział na brzeżku krzesła, cały podany w stronę naczelnika i niepomny swoich wierszowanych buntów, powtarzał ostatnie słowa każdego zdania zwierzchnika, zaopatrując je w owo „tak jest“, które powracało jak „amen“ w pacierzu.

— Rzeczywiście — mówił — tak jest, z tymi kongresami...

Działo się to w roku 28-ym czy 29-ym w samym rozkwicie manii zjazdów międzynarodowych i naczelnik znajdował się w prawdziwym kłopocie. Na październik tego roku przypadało mnóstwo rozmaitych kongresów, a ekipa ludzi dobrze wyglądających we frakach i umiejących mówić po francusku była u nas zawsze szczupła.

— Zupełna raża — mówił naczelnik, burząc białą dłonią, falujące jak się okazało włosy — kompletnie niewyobrażalne, kogo ja tam poślę im do tej Florencji... **sacrenom**, psia krew...

— Pan radca Liwic? — nieśmiało zaproponował Maliński.

— Zajęty w Paryżu.

— Książe Hieronim.

— Unia Międzyparlamentarna.

— Rdyński?

— Ten byłby najodpowiedniejszy, bo to kongres intelektualistyczny. Ale ma zjazd filmowców w Berlinie.

— Rzeczywiście — wyjąkał, nie mogąc nic wymyśleć Maliński.

Radca niecierpliwie patrzył w okno, na dachy Hotelu Angielskiego. Nagle oderwał oczy od przestrzeni i niechętnie spojrzał na biednego poetę, który pocił się przed nim i trochę kręcił się na brzeżku krzesła.

— Pan rzadko znajduje **une idee** — powiedział cierpko.

Maliński przestraszył się i zapomniał języka w gębie, nawet trochę otworzył usta i siedział tak nieruchomo wlepiony w twarz przełożonego, sapiąc zlekka.

— Nie, nie i nie — zawołał nagle, szeroko rozkładając ręce naczelnik — tym razem nic banalnego. Trzeba zaimprowizować coś ciekawego. Pojedzie do Florencji zupełnie ktoś nowy, ktoś, kto nas jeszcze za granicą nie reprezentował. Pozwólmy sobie na pewien genre bohême. Coby pan pomyślał o profesorze Cielińskim?.

— Tym historyku?

— Ma łupież, nosi pelerynę, ale co za twarz. Patriarcha, Jowisz, — to może mieć swój efekt, zwłaszcza w Italii — pan naczelnik zawsze mówił „w Italii“ — gdzie tak lubią rzeczy **pittoresque**.

— Tak, rzeczywiście — bąknął Maliński i przełknął ślinę.

— No, i kogóż jeszcze? Pan się obraca w tej sferze „literatury“ — to słowo podkreślił z odcieniem ironii — może kogo pan jeszcze wymyśli. Kto bywał w Paryżu? Kto mówi po francusku?

— Mało kto — westchnął Maliński.

— Ale przecie jest taki jakiś piękny muzyk? Un **nom vulgaire**... Krzysiak czy co?

— Luśniak — uśmiechnął się Maliński.

— Voila, Luśniak, bardzo malowniczy. Widziałem go kiedyś jak grał u Chłapowskich. No, to byłby drugi. Pan znajdzie trzeciego. To już stanowczo ktoś z pisarzy. Może być młody. Wobec Cielińskiego to będzie dobrze odbijało.

— Może Cielecki. Jego matka Plater z domu.

— Hm... nazwisko niedobre. Cieliński, Cielecki, za podobne. Dla cudzoziemców to nie dobrze.

— Już wiem — ucieszył się Maliński — Krasowicz?

— Emanuel?

— Tak, Manu Krasowicz.

— Mówi po francusku?

— Dwa lata był w Paryżu.

— Ma frak?

— Przypuszczam. To byli kiedyś bardzo zamożni ludzie.

— Sześćset złotych na osobę wystarczy może?

— Tysiąc, panie naczelniku...

— Hm... Ta powieść Krasowicza trochę za śmiała. Nie wiem, czy minister podpisze.

— Podpisze, podpisze, jeżeli pan poleci, panie naczelniku.

Tym sposobem Krasowicz znalazł się we wspólnym przedziale klasy drugiej w pociągu odchodzącym o godzinie czwartej po południu, razem z profesorem Cielińskim i młodym Luśniakiem. Na ich wagonie widniał napis „Warszawa — Roma“. Krasowicz z radością wlazł do wagonu i wymieniał ze starym profesorem jakieś słowa uprzejmości. Chudy, wysoki, z rzeźbionymi rysami, przypominającymi nieco Chopina, czarny Luśniak spacerował przed wagonem, machając połami obszernego płaszcza i robiąc oko do przechodzących panienek. Profesor był sam, Krasowicza odprowadzała matka, Luśniaka otoczyła gromada koleżanek z konserwatorium, dwóch muzyków z orkiestry filharmonijnej, mała Żydóweczka przyniosła mu bukiet róż. Luśniak śmiał się, pokazując swoje indiańskie zęby, kształtnej jego głowy, podobnej do głowy Montezumy, nie okrywał żaden kapelusz. Włosy skręcały się i rozrzucały po tej głowie jak kopy czarnego wrzosu. Czas był jesienny i niebo przymglone.

Pociąg ruszył, profesor wystawił przez okono swoją białą brodę, Krasowicz stał obok niego. Montezuma skoczył w ostatniej chwili na stopnie wagonu, konduktor nakrzyczał na niego, młody człowiek odciął się i swobodnie wszedł do przedziału, dźwigając na ręce bukiet róż i całą masę tygodników ilustrowanych, polskich i zagranicznych. Usiadł obok Krasowicza, który patrzył na szare pola i pożółkłe drzewa, uciekające wzdłuż plantu i począł niedbale przerzucać ilustracje. Krasowicz bez życzliwości spoglądał na interesującego muzyka, każdy ruch niecierpliwił go. Toteż nie dojeżdżając jeszcze do granicy przemówili się trzy razy.

Profesor spostrzegł to i z uśmiechem starał się złagodzić antagonizm młodych ludzi. W dalszej drodze począł mówić im o kongresie, na który jechali. Powtarzał to wszystko, czego się poprzednio dowiedział w Ministerstwie od radcy Malińskiego.



— Tak jest, panie naczelniku!... tak jest.

Był to Kongres Związku Intelektualistów Europejskich, instytucji, która powstała z inicjatywy starej i bogatej Szkotki. Działalność towarzystwa ograniczała się do urządzania raz na rok zjazdu w coraz to innym i coraz to piękniejszym mieście starej Europy i do wspólnego gadania przez trzy czy cztery dni na jakiś z góry określony temat. Aczkolwiek Związek powstał z inicjatywy Angielki, Anglicy nie brali w nim udziału, przewodnictwo dostało się w ręce Austriaków, ale ponieważ ci rozwijali zbyt gorączkową działalność wobec tak zwanych „państw sukcesyjnych“, trzeba było dla równowagi przeciwstawić się im. W tym celu delegacja polska miał szukać kontaktów z delegacją francuską, no i z Włochami, na których terenie kongres miał się odbyć.

— Nie rozumiem — powiedział wzruszając ramionami Luśniak — jakie to wszystko może mieć znaczenie.

— Żadnego — ze spokojnym uśmiechem odrzekł profesor — ale ponieważ wszyscy biorą w tym udział, jedziemy i my. Mam nadzieję, że będziemy godnie reprezentować nasz kraj — dodał.

— Spodziewam się — znowu pogardliwie poruszył ramionami i pociągnął nosem muzyk — sama broda pana profesora czego jest warta!

Profesor zaśmiał się, ale Krasowicz popatrzył z gniewem na młodszego od siebie chłopca. Rzeczywiście broda profesora była piękna i siwa, podobna do brody apostołów, ale chyba były rzeczy ważniejsze w tej wspaniałej głowie. Krasowicz poczuł się dotknięty za przewodniczącego delegacji i z wyraźnym niezadowoleniem odwrócił od Luśniaka swoje oczy. Chciał załagodzić ten incydent i spytał znowu:

— A jaki będzie temat tegorocznego kongresu?

— Historia i kultura — powiedział Cieliński.

— O, to akurat coś dla pana, panie profesorze.

— Nie rozumiem, co to może być za związek, historia i kultura — mruknął niechętnie Luśniak. — Ja tam nic gadać nie będę.

— Będą tam i sprawy pana obchodzące — powiedział profesor zaglądając do małego programiku, który miał przed sobą. — Jeden z referatów niemieckich ma za tytuł: „O roli wychowawczej kultury muzycznej“.

— Nie mówię po niemiecku — powiedział Montezuma.

— Referaty będą tłumaczone na francuski.

— No, to chyba.

Sądząc po tej pierwszej poważniejszej wymianie zdań, a było to już za Wiedniem, Krasowicz nie spodziewał się wielkich rzeczy po swoim koledze delegacie. Na szczęście po przyjeździe do Florencji, Luśniak nie chciał zamieszkać w pensjonacie przeznaczonym dla delegacji polskiej przez komitet organizacyjny. Rzeczywiście, był on dość daleko położony, wobec czego Luśniak zatrzymał się w jednym z większych hoteli nad Arnem. Kontakt delegatów między sobą nie mógł przeto być ścisły. Wynikło z tego parę nieporozumień, ale nic ważniejszego.

Natomiast przybycie polskich gości do pensjonatu było dla jego właścicieli prawdziwą katastrofą. Pensjonat leżał na uboczu, na brzegu Arna, przy placu Giuseppe Poggi. Zajmował całe drugie piętro w starym domu i okna jego wychodziły na basztę „Porta San Nicolo“, stojącą po środku placu i na ogrody prowadzące na górę do „piazzale Michelagnolo“. Stary to był zakład i opuszczony, nikt już do niego nie zajeżdżał; gdy zgłaszano lokale na zjazd, zgłoszono i ten pensjonat bez wielkich zapewne nadziei. Komitet organizacyjny — jak zwykle w takich razach — wyznaczył najgorsze miejsca dla Polaków — i tym sposobem pewnego październikowego wieczora profesor Cieliński i Krasowicz znaleźli się przed żółtymi, źle wymytymi drzwiami. Otworzyła im przestraszona, jasna i ogłupiała służąca, której włosy układały się w lepkie pasma podobne do strączków. Aczkolwiek profesor Cieliński mówił dobrze po włosku, nie potrafił wytłumaczyć dziewczynie, że należy przynieść walizki z taksówki, która stała na dole. Patrzyła na przyjezdnych, wytrzeszając bez wyrazu siwe oczy i pociła się z przestrachu.

Dopiero po chwili zjawił się chudy, suchy człowieczek, z żółtą skórą napiętą na policzkach jak pergamin na desce. W szczupłym czarnym ubraniu, lekko kulejący, z gładko uczesanymi, błyszczącymi, czarnymi włosami robił wrażenie demona z prowincjonalnej sztuki teatralnej. W klapie ciemnej, ale poplamionej marynarki widniały jakieś dwie wstążeczki orderowe. Ten zrozumiał, że to są goście do pensjonatu i narobił wielkiej wrzawy. We wszystkim co mówił przebijały dwa tony: jeden krzykliwy, rozkazujący, bezczelny, nieceremoniujący się, jak głos sierżanta na placu ćwiczeń, którym mówił do służącej; drugi uprzejmy, pokorny, zająkliwy, którym częstował gości. Jedno zdanie wypowiadał żołdackim krzykiem, drugie zaraz obok z fagasowską pokorą i tak bez przerwy na przemian. Był to właściciel pensjonatu.

— Zaraz na dół, po rzeczy panów! Proszę, bardzo proszę, pokoje są do wyboru, mniejsze, większe, jakie panowie chcą. No, czego się gapisz, gazza, kufry zaraz na górę! Proszę, niech panowie zdejmą płaszcze w przedpokoju, proszę za mną!

Pokoje były straszne, ale rzeczywiście chyba ze sześć, mniejsze, większe. Stały pustkami, zimne, nieprzytulne i zupełnie na przybycie gości nieprzygotowane. Widać było, że pensjonat nie tylko teraz, ale nigdy nie widywał gości. Tylko w każdym z pokoi, jakie gospodarz pokazywał przybyłym, stała ogromna, zajmująca całą ścianę półka czy szafa, zapełniona książkami. Krasowicz spostrzegł niemieckie tytuły na grzbietach tych książek.

Ostatecznie przyjezdni wybrali jakieś dwa pokoje obok przedpokoju naprzeciw siebie położone. Profesor dostał wielką harharę z drewnianym łóżkiem niebywałej wysokości wysuniętym na środek; nad łóżkiem wisiały podarte firanki i zasłony z czerwonego rypsu; w jednej z nich czerniała wypalona dziura. Na łóżkach nie było śladu pościeli.

— Carla! Carla! — wołał mały demon, biegnąc w głąb mieszkania.

Krasowicz otworzył żaluzję i okno w swoim pokoju, pokoiku raczej. Była to mała cela, wysoka niezmiernie, ale przez swoje małe rozmiary nieco już przyjemniejsza od innych. Podarte tapety strzępiły się po ścianach, ale granatowe, wieczorne powietrze, przejrzyste i pachnące, wisiało na otwartym oknie, jak jedwabna zasłona, a od zarośniętych skrętów drogi, prowadzącej na plac Michała Anioła, szedł gęsty, jesienny, ale przejmujący roślinny aromat. Manu Krasowicz poczuł się dobrze w tym nędznym pokoju, a cały pensjonat zaczął go raczej śmieszyć.

Przerażona dziewczyna przyniosła kuferki i Emanuel próbował się rozpakować, ale było ciemno, żarówka przy łóżku paliła się jakby niechętnie, w umywalni nie było śladu wody. Chciał zadzwonić, ale nie mógł znaleźć dzwonka. Wyszedł do przedpokoju, ale nikogo tu nie znalazł, ruszył na zwiady w głąb domu. Za przedpokojem wszedł do stołowego, do połowy zawalonego olbrzymią szafą z popiersiami Schillera i Goethego na szczycie. Na brudnawej serwecie stołu stały trzy nakrycia. Krasowicz przez jadalnię przedostał się do jakiegoś wielkiego nieokreślonego, jak nazwał sobie „ogólnego“ pokoju, za którym leżała kuchnia, skąd dolatywało skwierczenie i zapach smażącej się oliwy.

Po środku „ogólnego“ pokoju stały dwie kobiety, tak zagadane, że nie zauważyły wejścia Emanuela. W pokoju panowała ciemność, światło padało tylko z kuchni i ze stołowego. Jedna z tych dam, starsza i siwa, bardzo poważnie wyglądająca, mówiła po niemiecku:

— Zawsze ci mówiłam, moja droga Carlo, nigdy nic u was nie jest przygotowane na przyjazd gości. A to są przecież poważniejsi panowie, przyjechali na kongres...

— Zaraz wszystko będzie — odpowiedziała młodsza, której twarz zanurzała się w cieniu.

Emanuel chrząknął i obie panie odwróciły się ku niemu. Ujrzał na twarzy młodszej złoty odblask światła i spostrzegł parę ogromnych czarnych oczu w szczupłej twarzy. W tym blasku niepewnym, z wyrazem przestrachu w przezroczystych oczach, Carla wydała mu się prawie piękna.

— Przepraszam — powiedział po niemiecku — chciałbym poprosić o trochę wody.

Carla zmieszała się na widok Emanuela i nic nie odpowiedziała. Starsza dama spojrzała na nią z pewną niecierpliwością, a potem odwróciła się do Krasowicza i bardzo godnie wycedziła parę słów:

— Zaraz woda będzie przysłana. A czy panowie chcą także zjeść i wieczerzę?

— Jesteśmy z podróży — powiedział Krasowicz — i nic nie jedliśmy wieczorem.

— Zaraz wszystko będzie — zawyrokowała dama takim tonem, jakby mówiła „stoliczku nakryj się“.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Grzegorz Timofiejew



(Ilustrował Z. Witz).

Istnieje w Polsce prastary zwyczaj wznoszenia toastów z racji ogólnie dostępnej dla wszystkich uroczystości i rozkoszy picia. Toasty bywają najrozmaitsze. I nie te oobliwe, dyplomatyczne, „mowne" są najciekawsze; raczej interesują nas



drobne okrzyki, powiedzonka i przysłówkowe życzenia, a niekiedy krótkie wierszyki, towarzyszące wesołej „kolejce". W szperaniu po starych księgach tkwi swoisty urok. Zwłaszcza po księgach, oprowadzających po słodkich tajnikach pijactwa. Te sekrety wierszowane i ujęte w lapidarny skrót prozy opublikował w roku 1898 niejaki Barnaba Bibosz, nadając swej książeczce nęcący tytuł: „Milion toastów".

Trzeba powiedzieć, że w dziejach toastologii książeczka wspomniana stanowi kapitalną pozycję. Albowiem zawiera wierszyki i powinszowania, wypowiadane przy kieliszku, w zastosowaniu do wszystkich imion kalendarzowych. Chcecie toast np. na cześć Celiny. Oto jest: „Powiedzcież proszę, dla jakiej przyczyny nie mam dziś wypić za zdrowie Celiny!" Na miejsce Celiny można podstawić każde inne imię niewieście (byle do rymu) i tak jechać aż do końca alfabetu.

Mężczyźni ma się rozumieć, nie zostali zapomniani. Możliwości mnóstwo, tyle co systemów picia. A więc: „Milej niźli wszystkie instrumenty brzmią mi toasty — niech żyje Wincenty". Na miejsce Wincentego można podstawić Laudentego, Walentego, Jacentego itd. i jechać aż do końca alfabetu, a do dna butelki.

Lecz co zrobić, gdy przy stole siedzi Teodor lub Wiktor, a trzeba na jego cześć wznieść toast. I na to jest przepis: „Nasz orędowniku, zacny promotorze, żyj nam do stu lat, Wiktorze!" Po prostu ma się rzecz ze Stachem. „Ach, ach, ach! Niech żyje Stach!" Roch także nie wymaga wybrednego toastu: „Och, och, och! Niech żyje Roch!" I tak dalej — aż do wyczerpania imion wszystkich, spragnionych toastów.

Na obrządek picia składa się prócz trącania się kieliszkiem, używanie najrozmaitszych wykrzykników, pogwarek i powiedzonek. Najczęstsze są tajemnicze jednozgłoskowe hasła, stanowiące niejako bodziec do wypicia. W okolicach nad Pilicą wieśniacy pijąc wykrzykują „bach, bach!" W proszowickim wołano dawniej „kip! kip!" Ale do dzisiaj przechowało się bardzo popularne w Polsce: „Lu!" Albo „Chlup! cyk! drynk! dryst! dryn! ex! gruch! hul!" Także mówi się „rymc!" albo po prostu „siup!"

Ciekawe są również różne powiedzonka, wypowiadane przy wychylaniu kieliszków. W kwartalniku etnograficznym „Lud" odnajdujemy następującą notatkę: „Kiedy starsi gospodarze zejdą się na „pocęsną", trącając się kieliszkami, mówią: „No, nase na śterdzieści śtyry". Zapytani, skąd się to wzięło, odpowiadają: „To już nasi dziadkowie tak gadowali". Zwracamy uwagę polonistów na tajemnicze 44. A nuż ma to jakiś związek z Mickiewiczem?

Jest coś i dla „wpływologów". Popularne „chaim! siulim!" pochodzi z hebrajskiego „Kurdesz nad kurdeszami!" — armeńskiego. Kurdesz oznacza brat.

Ogólnie przyjęte jest „daj Boże zdrowie". Dobre życzenie, żeby się nie przepić i nie rozchorować. Pod Krakowem powiadają „Gloryja. Niech się ta wódeczka wypija". Jeszcze przed pierwszą wojną wznoszono we Lwowie okrzyk „huź piper na wodę!" Skąd się wziął, co oznacza? Dziś już trudno dociec. Miły zwyczaj, nacechowany elegancją dobrze wychowanych kawalerów, panował na starej Litwie. Jeden z pijących podnosił kielich do góry i mówił: „Perswaduję do waćpana". A na to drugi odpowiadał: „Bynajmniej nie obojętnie". Potem trącali się i wypijali po kieliszku smacznej starki.

Po rybie wskazane było wino. Przy wieprzowinie — wódka. Z racji kiełbasy (a Polska słynna jest zarówno z krakowskiej jak i suchej litewskiej kiełbasy) mawiano: „po kiełbasie napijwa się". Przy gęsi „wódka pijana, gęś po stole chodzi".

Nieoceniona jest przy piciu rola improwizatorów, którzy nie szperają po książkach czy zakamarkach pamięci, w poszukiwaniu jakiegoś powiedzonka, lecz sypią jak z rękawa. Wymyślają na poczekaniu. A więc gdy pije czterech, jeden powiada: „cyk!" Drugi: „cyk Marychna!" Trzeci: „Alleluja!" Czwarty: „Pojechali!" Im bardziej nieoczekiwane jest powiedzonko (ni przypiął, ni przyłatał) — tym większy efekt.

Powszechnie stosowane powiedzonko „nasze kawalerskie" zawiera w sobie westchnienie za utraconą swobodą lat młodzieńczych, gdy jest wygłaszane przez żonatych. Ale ma miejsce przy kieliszku i radość powrotów, nie tylko smutek rozstania. Najpierw pijący mówią „do widzenia" i trącają się kieliszkami. Ale już następna kolejka stoi pod znakiem „dzień dobry". I tak bez końca odnajduje się w tym systemie picia radość powrotów i przywitań.

Bywają też toasty pocieszne, kiedy uczestnik biesiady mozoli się i



poci, aby wymyślić coś dowcipnego i koniecznie składanego wierszem, jako że sztuka rymowania oznacza (podobno!) ogładę. A więc: „To wino słodkie jest jak nektar. Niech żyje Spółdzielni „Społem" obywatel dyrektor!"

Kiedy się już języki rozwiążą i dobrze pomieszają, nie wystarczą krótkie powiedzonka i anegdoty. Uczestnicy biesiad, przywodząc do przytomności cały swój kunszt narracyjny, sypią jak z rękawa różnymi uciesznymi żartami, facecjami i historyjkami. Zbiór bachicznego żartu mógłby chyba rywalizować z biblią co do swej grubości, starości i częstości zastosowania. Sięgnijmy tu na zakończenie:

W karczmie przy kieliszku chłopi prowadzą gawędę:

— Kiejście tacy mądrzy, Wojciechu, to powiedzta jakie słowo, aby się nazywało od A?

— Arendorz.

— No, a wy, Ignacy,

— Anyżówka.

— A wy Kuba?

— Antałek.

— No, a wy, arendarzu?

— Aby handel szedł.

Mnie nie pytano, lecz odpowiedziałbym: „Aby artykuł napisać".



„Nasz orędowniku, zacny promotorze, żyj nam do stu lat Wiktorze!"

NIE TAKI DIABEŁ STRASZNY...

Co mówią uczeni o wojnie bakteriologicznej

Ludność całej kuli ziemskiej zelektryzowała wiadomość o zamierzonej przez Niemców wojnie bakteriologicznej. My, Polacy, wiemy najlepiej, do czego zdolni są nasi zachodni sąsiedzi. Przez długie sześć lat okupacji poznaliśmy ich wyrafinowane okrucieństwa, dlatego też dywersja bakteriologiczna przejmuje nas grozą. Dowiedzmy się jednak, czy diabeł jest naprawdę tak czarny jak go malują. W tym celu udaliśmy się do Państwowego Zakładu Higieny w Warszawie. W gmachu panuje wzorowy porządek i zupełna cisza, tym niemniej wre tu twórcza praca. Dyrektor Zakładów, prof. Przesmycki siedzi za swym biurkiem ubrany, zresztą jak wszyscy pracownicy, w śnieżno biały fartuch.

— Panie profesorze — zwracamy się do niego — czy nie zechciałby pan podzielić się z nami swoimi wiadomościami o możliwościach prowadzenia wojny bakteriologicznej. Ostatnie wiadomości z tej dziedziny, podane w prasie codziennej, są tak przerażające, że niepodobna przejść nad nimi do porządku dziennego.

Z całej postaci prof. Przesmyckiego bije niebywały spokój.

— Pytanie pani nie zaskoczyło mnie. Ze wszystkich stron napływają do nas zapytania, jaka jest możliwość dywersji bakteriologicznej i jakie może ona przybrać rozmiary. Zacznijmy od tego, że konwencja międzynarodowa zabrania prowadzenia wojny bakteriologicznej. Podczas ostatniej wojny na terenie Europy i Afryki, jednym słowem na zachodniej półkuli, według posiadanych przez nas danych wojny bakteriologicznej nie stosowano. Natomiast w publikacjach UNRRA znajdują się wzmianki o zastosowaniu wojny bakteriologicznej przez Japończyków na terenie Chin. Prowadzono ją w ten sposób, że z samolotów zrzucano worki z ryżem lub z pszenicą, w których znajdowały się pchły zakażone dżumą. Worki te zrzucano na miejsca oddalone bardzo od frontu, a po pewnym czasie powstawały tam ograniczone ogniska dżumy. Co prawda w miejscowościach tych nie przeprowadzano ścisłych badań bakteriologicznych, niewytłumaczony jest jednak fakt, dlaczego Japończycy zrzucali ryż względnie pszenicę, a po paru tygodniach w miejscowościach tych powstawały ogniska dżumy. Poza tymi skąpymi zresztą wiadomościami nie posiadamy żadnych danych na stosowanie broni bakteriologicznej w ostatniej wojnie. Wprawdzie prasa niemiecka i uczeni niemieccy niejednokrotnie dawali do zrozumienia, że jedną z tajemniczych broni jest broń bakteriologiczna i że zastosują ją w ostateczności, to jednak do tego nie doszło.

— Panie profesorze, jak pan sądzi? Czy łatwo jest prowadzić wojnę bakteriologiczną i czy może ona przyjąć wielkie rozmiary?

— Niewątpliwie, dywersja bakteriologiczna przez rozsiewanie zarazków, zakażanie studzien i zbiorników wody jest rzeczą stosunkowo łatwą, gdyż do tego celu mogą być użyci pojedyńczy ludzie. Tak wygląda sprawa ze strony praktycznej. Teoretycznie rzecz biorąc zagadnienie to jest bardziej skomplikowane, gdyż szerzenie się epidemii podlega szeregowi skomplikowanych praw, z których nie wszystkie są nam znane. Obecność osobnika gatunku wrażliwego i drobnoustroju chorobotwórczego nie są wystarczającym źródłem powstawania epidemii. Istnieje cały szereg nierozpoznanych dotąd czynników, które są konieczne dla powstawania epidemii. Należy również dodać, że raz powstała epidemia szerzy się jak żywioł i nie jesteśmy w stanie nadać jej jakiegokolwiek kierunku. Przechodząc do faktów konkretnych, podanych w prasie a dotyczących zastosowania drobnoustrojów dżumy, nie wydaje mi się prawdopodobne, aby sposób ten mógł być stosowany na terenie Polski, gdyż tego rodzaju epidemia zagrażałaby sąsiedniemu państwu.

— Czy chciałby pan przez to powiedzieć, że gdyby Niemcy użyli zarazków dżumy w walce z Polską oni sami narażeni byliby na tę chorobę?

— Tak. W tym wypadku w pierwszym rzędzie zagrożeni byliby Niemcy. Wynika z tego, że możliwe jest stosowanie w wojnie bakteriologicznej takich tylko metod, które nie zagrażają bezpośrednio agresorowi.

— Jeszcze jedno mocno nas interesuje. Chcielibyśmy bowiem wiedzieć, czy my jesteśmy w stanie przeciwstawić się agresji bakteriologicznej?

— W całym szeregu chorób zakaźnych — tak, a mianowicie przez stosowanie szczepionek ochronnych. Szczepionki te są wytwarzane lub mogą być wytworzone przez Państwowe Zakłady Higieny. Istnieją jednak takie chorby dla których nauka nie wynalazła jeszcze skutecznej szczepionki. Jakkolwiek nie są nam znane metody opracowane przez Niemców, to jednak należy być bardzo czujnym i niewątpliwie najwyższe władze państwowe zrobią wszystko, aby przeciwstawić się agresji bakteriologicznej.

Skuteczną pracę PZH w tym zakresie gwarantują tak wybitni fachowcy jak prof. Hirszfeld, Legożyński, Adamski i inni.

K. Kowalska

„RZECZYWISTOŚĆ"

2. Putrament—Pictures

W hurra-recenzji pana „G" z „Rzeczywistości" Putramenta *) („Robotnik" nr. 41). znajdujemy przecie jedną trafną uwagę: „Nasuwa mu się — pisze pan „G" — poważna wątpliwość co do wartości tej książki dla szerszego czytającego ogółu. Po pierwsze, jest to niewątpliwie książka o inteligencji i dla inteligencji. Wątpię, czy jej problematyka zainteresuje robotnika, nawet uświadomionego i cztającego. Po drugie, jest to — w pewnej mierze — książka dla wtajemniczonych. Ma ona o wiele większą wartość dla czytelnika, który zna Wilno..." W uwadze tej poprawiłbym tylko słowo „inteligencja" na „intelektualiści" (z ironicznym nieco odcieniem), myślę bowiem, wbrew panu „G", że i robotnik może być inteligentem, i że niepotrzebnie go pan „G" pomniejsza.

Książka dla intelektualistów, dla wtajemniczonych, dla smakoszów anegdoty zakulisowej, dla klerków — pour ainsi dire. Kto ją zrozumie, nie znając — przynajmniej ze słyszenia — tych wszystkich aktorów, jakich, pod zmyślonymi nazwiskami, wyprowadza na scenę Putrament? Objaśnijmy więc przynajmniej najważniejszych z nich. Jasiński — to Henryk Dembiński, założyciel grupy wileńskiej młodzieży radykalnej mniej więcej w r 1932 i redaktor pisma „Poprostu", które u Putramenta nosi nazwę „Rzeczywistość". Dembiński zginął w r. 1941, zastrzelony przez Niemców w Hancewiczach — zupełnie osamotniony, zapomniany niemal przez swych dawnych towarzyszy walki, jak to słusznie stwierdza Jerzy Kornacki w swym „Słowie o Dembińskim" (Boguszewski i Kornacki: „Ludzie śród ludzi", Spółdz. Wyd. „Wiedza", 1946), aczkolwiek i jego „Słowo" nie jest wolne od błędów i nieścisłości.

Drugi bohater „Rzeczywistości" — Andrzejewski, to Stefan Jędrychowski, dopiero co abszytowany minister żeglugi. Medyk Kornicki — to dr Jerzy Sztachelski, doniedawna minister aprowizacji. Dziedziczka — to Irena Dziewicka, późniejsza pani Sztachelska, obecna przewodnicząca Ligi Kobiet. Pawlukiewicz — to Petrusewicz, dziś wiceminister aprowizacji. Hlebowicz — to Władysław Borysowicz, redaktor odpowiedzialny „Poprostu", którego poprzedniczką na tym stanowisku była Anna Zgierska — u Putramenta Numa Bielska.

Wspaniale zarysowana postać Murzy-Murzicza (był na Wileńszczyźnie sędzia tego nazwiska, z pochodzenia Tatar), to dr Jerzy Orda — „katolik-anarchista" (podobnie jak Dembiński), niezłomny charakter, jakiś czas członek komitetu redakcyjnego „Poprostu", z rodziny owego Napoleona Ordy (1807 — 1883), który był pianistą i kompozytorem, autorem dzieł z dziedziny muzykologii i sławnym zbieraczem. Nie wiem, czy jako repatriant wrócił już Jerzy Orda z Litwy do kraju.

Janeczka — to Anna Kompielska, poetka, potem żona Jędrychowskiego, dziś urzęduje w naszym poselstwie w Szwajcarii, razem z Putramentem. Mucha Żuławska — to Maria Żeromska. Litwin Mycenas — całkiem łatwo: Cycenas, pracownik Instytutu Europy Wschodniej w Wilnie, wiecznie w tarapatach z powodu brzmienia swego nazwiska, które po polsku miało inny wywód etymologiczny niż po litewsku. Poeta Słamajkiewicz — to Józef Maślińśki, obecnie reżyser teatru toruńskiego, rzeczywiście troche tego... eee... ślamazarny. Kolka Maciuta — to Anatol Mikułko, także członek redakcji „Poprostu", dzisiaj lekarz-ginekolog i redaktor „Dziennika Łódzkiego", autor sensacyjnej powieści, drukowanej niedawno w odcinkach tego pisma pt. „W pogoni", gdzie — tak samo jak Putrament — odmalował Wilno „autentycznie" i pokazał „prawdziwych" ludzi tamtejszych — np. Ordonównę w osobie śpiewaczki Redutowskiej, albo Wyszomirskiego jako Niszomirskiego, któremu po pijanemu — niczym Wilhelm Tell — chciał zestrzelić z głowy pudełko zapałek, i dziwił się, że „perfidny" Niszomirski nie przystał na ten żarcik. Takie były zabawy, spory w one lata śród cichej wsi litewskiej...

Któż jeszcze ze znaczniejszych występuje w powieści Putramenta? Jest Szatybełko, redaktor „Mowy" konserwatywnej czyli Cat-Mackiewicz, redaktor „Słowa" — „jurny Sangwinik", jak go Putrament określa, bardzo celnie. Z nazwiskiem Szatybełko, to zresztą dobry kawał. Był w Wilnie rzeczywiście młody człowiek tego nazwiska, któremu niejeden zazdrościł owych wartości, jakie dawna polszczyzna mieniła „strojami męskimi". Toteż cieszył się sympatią pań, zwłaszcza starszych. Putrament, który —nie wiem, jak dzisiaj — ale wówczas miał w sobie coś z koguta, nazywając Mackiewicza Szatybełką, świadomie czy nieświadomie wyraził mu swoje uznanie, bo nawet i w szopce akademickiej, pisząc do niej wówczas teksty razem z Miłoszem i Zagórskim, przedstawił Mackiewicza jako „byka" — dosłownie: byka. Takie były zabawy w one lata wśród cichej wsi litewskiej, kiedy reszta świata...

Jest jeszcze w powieści Putramenta prof. Możejko. To — prof. uniwersytetu Jerzy Panejko, który zakładał śród przystojnych studentów koła im. Leonarda da Vinci, napoły mistyczne, napoły platoniczne. Jest poeta Pilawko czyli Jan Huszcza, pisujący wówczas pod pseudonimem Jana Olechno, i jako taki będący również członkiem redakcji „Poprostu". Putrament był wówczas autorem złośliwego epigramatu o jednym w dwóch osobach Huszczy. Historia wydobędzie kiedyś z mroku ten epigramat. Ale i sam Putrament doczekał się epigramatu od Tuwima, który, przeczytawszy jego wiersze, napisał krótko w „Szpilkach": „szkoda peiperu i putramentu". Jest jeszcze w „Rzeczywistościśś syntetyczna postać poety Gołębskiego: to Bujnicki, Miłosz i Zagórski razem wzięci. Są trzej adwokaci: pani Olkucka, Teufel i Babul. To — Zasztowt-Sukiennicka, Engel, zamordowany przez Niemców i Litwinów, i Krzyżanowski, zacni obrońcy grupy Dembińskiego, gdy sanacja posadziła ją na ławie oskarżonych. Skrzydził ich trochę Putrament. Engel nie był wcale endekiem, a Krzyżanowski ramolem. Był to „liberał" starego autoramentu, w tym stylu, co niegdyś w Wilnie niezapomniany mason, mecenas Tadeusz Wróblewski, fundator olbrzymiej biblioteki, obrońca — czasu rewolucji r. 1905 — lejtenanta Szmidta z „Kniazia Patiomkina", uwiecznionego przez Micińskiego.

Jest jeszcze u Putramenta wojewoda wileński pułk. Bociański, przemianowany na Czaplińskiego, naogół wiernie oddany, na którego korzyść można powiedzieć jednak to, że nie mógł przeżyć katastrofy wrześniowej i, przekraczając granicę, palnął sobie w łeb. Jest strajk w lidzkim „Ardalu" (firma „Meguma" w Lachowiczach i tamtejsi „eksploatatorzy proletariatu", jak ich określa Putrament" — Melup, Szapiro, Papirmejster, wymienieni z nawiska. Reportaż ze strajku w „Ardalu" pisał do „Poprostu" (Nr 15 z dn. 5.3.1936) sam Putrament. Jakże teraz, po tych wszystkich intymnościach, ocenić jego film emocjonujący, którym jest „Rzeczywistość"?

Jerzy Wyszomirski.

*) Por. „Podpałka" w nr 10/34 „Tygodnia" z dn. 9.III.47.

JAK KRÓL ANGIELSKI SPÓŹNIŁ SIĘ DO KINA

(Dokończenie ze strony 8)

Widz zaczyna chwilami się gubić w tych niebiańsko - ziemskich konfliktach, nie bardzo wie, czy sceny w niebie są majaczeniami chorego, czy też po prostu dowcipną fantazją filmową, zaczyna się zastanawiać, jaką kurację zastosować, by chory (czy chory?) lotnik pozbył się nieproszonych gości z tamtego świata.

Kulminacyjnym momentem filmu jest operacja lotnika, która zbiega się w czasie z wielką rozprawą sądową wytoczoną mu w niebie o spóźnienie się samowolne ze śmiercią. Z rozprawą, która ma rozstrzygnąć, czy wolno mu będzie nadal żyć, czy operacja może się udać. Oskarżycielem jest Amerykanin, zabity przez Anglików podczas wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Fanatyk, nienawidzący całą duszą angielskich uzurpatorów. I to jego oskarżenie przeciwko lotnikowi przemienia się w oskarżenie przeciwko Anglii, przeciwko jej polityce imperialnej i zaborczej. Ciężką rolę ma obrońca, którym jest ów właśnie lekarz - psychiatra. Jadąc motocyklem do szpitala, by przygotować operację, uległ śmiertelnemu wypadkowi. W ten sposób dostał się do nieba i na tym terenie stara się pomóc przyjacielowi, któremu już nie może pomóc na ziemi.

Tak w wielkim skrócie wygląda treść filmu.

Uwaga na tekst!

Ale wiemy przecież, że najlepszy temat można bez wielkiego trudu zepsuć. W wypadku „A matter of life and death" temat został znakomicie wykorzystany, wygrano i wydobyto maximum efektów, wydobyto je w sposób par excellence filmowy.

I chociaż w niektórych momentach nie zdołano uniknąć śmiertelnej wady filmów angielskich — teatralności, chociaż niektóre dialogi są przeciągnięte, chociaż trafiają się — szczególnie przy końcu — pewne dłużyzny montażowe — to można mimo to śmiało ten film zakwalifikować do szczytowych osiągnięć kinematografii światowej.

Dwie zasadnicze cechy, które uderzają widza na każdym kroku, które spostrzegamy i w dialogach i w niespodziewanych przeskokach obiektywu i w ciekawych koncepcjach dekoratorskich — to inteligencja i poczucie humoru. Tymi dwoma elementami nasycona jest i gra aktorów i praca reżysera i montaż i nawet ilustracja muzyczna.

Strona techniczna: udźwiękowienie, fotografia, barwy — na najwyższym poziomie. O grze zespołu aktorskiego z Davidem Nivenem, Raymondem Maseyem, Kim Hunter i Mariusem Goringiem powiedzieć można jedno: w tym filmie nie ma złej roli. Publiczność polska przypomni sobie wiele twarzy z filmu Wellsa „Rok 2000".

Na zakończenie uwaga pro domo sua. Zwrócić baczną, najbaczniejszą uwagę na polski tekst! Musi stać na najwyższym poziomie, by nie zagubić i nie zaprzepaścić możliwości, które daje angielski oryginał. Kapitalne przemówienia i starcia podczas rozprawy sądowej w niebie, ostra, dowcipna satyra i krytyka mentalności angielskiej oraz charakteru amerykańskiego — są właśnie z punktu widzenia czysto filmowego przeciągnięte. Jeżeli nie podłoży się tu tekstu polskiego na najwyższym, literackim poziomie, tekstu trafiającego w sedno rzeczy — sceny te będą ciężkie do strawienia dla polskiego widza. A szkoda byłoby, gdyby je zmarnowano.

Dobrze, że film „A matter of life and death" zobaczymy na polskich ekranach.

Karol Małcużyński



Moment sądu pozagrobowego w filmie „A matter of life and death". Na pierwszym planie Ro gers Liversey, w roli obrońcy.

KRONIKA KULTURALNA

MOROWIEC jednak z tego Pasternaka! Wydał właśnie tom satyr pt. „Rzeź niewiniątek". Tytuł herodowy, ale w gruncie rzeczy gderliwie łagodny. Zato wiersze — cięte, złośliwe, zjadliwe, jadowite, chłoszczące, zupełnie w stylu Heinego. Książka, utartym zwyczajem naszych dzisiejszych satyryków, dzieli się na dwie części: część „historyczną" czyli zawierającą satyry przedwojenne (z lat 1936—1939) i część „aktualną" — do roku 1946. Niektóre z satyr przedwojennych są i dziś bardzo à propos, np. „Brylanty i wszy", „Zbawcom narodu" („Krzyczycie: Polska! Wołacie: Ojczyzna! Myślicie: forsa, posadka i żłób...") — i wiele innych. W części aktualnej, w „Chytrym wierszyku", Pasternak chce wprawdzie zająć stanowisko całkiem „obywatelskie" wobec rzeczywistości (przed wojną powiedzielibyśmy bodaj: państwowotwórcze) i oznajmia: „nie sztuka być dziś anty, lecz sztuka właśnie jest być pro!" — lecz co począć, gdy się jest niepoprawnym satyrykiem i ironistą? Tak go już Pan Bóg stworzył. Więc wyznaje szczerze: „Drażnię piórem chorą żółć... i czuję: mógłbym kłuć i kłuć". I gdzie może, kłuje rzeczywiście. Ale wiadomo, że prawdziwi satyrycy, że tzw. cynicy — to ludzie, którym ponad wątrobą i śledzioną bije mocno serce, niekiedy zgoła romantycznie. To samo z Leonem Pasternakiem. Napisze tedy wiersz: „Taki już jestem", a w tym wierszu następującą zwrotkę: „Dla mnie jaskółki świegot nad ranem, nie zaś orkiestra przed karawanem. Wejdę w zwyczajną sosnową trumnę — taki już jestem, taki już umrę".

●

„PIERWSZY POWSTANIEC, prekursor legionistów, wódz patriotycznej młodzieży, bojownik wolności naszej i cudzej, nade wszystko zaś nauczyciel bohaterstwa" — w tych słowach ujął znaczenie historyczne Kazimierza Pułaskiego największy jego u nas monografista — prof. Wł. Konopczyński (r. 1931). W roku bieżącym mija dwóchsetna rocznica urodzin (1747) tego bohatera dwóch narodów, poległego r. 1779 — w 33-cim zaledwie roku życia, pod Savannah, w walce o niepodległość Stanów Zjednoczonych, po kilkuletnich wspaniałych bojach w ojczyźnie na czele konfederatów barskich, po tułactwie za granicą—w Saksonii, Francji i Turcji. Ameryka wystawiła mu pomniki, podobnie jak Kościuszce. nazwała imieniem jego („Pulaski") osiem hrabstw w kilku stanach oraz osiem osad i miast, z których Pulaski w Wirginii jest największe. Jak słychać, Amerykanie wysłali do Warki, miejsca urodzenia Pułaskiego, delegację, aby zbadała stan jego domu rodzinnego, zniszczonego przez wojnę, hcą go bowiem odbudować zarówno jak całe miasteczko.

●

„ŻYCIE SŁOWIAŃSKIE" — miesięcznik, wydawany przez Komitet Słowiański w Polsce—mogłoby z pożytkiem pracować nad zbliżeniem kulturalnym narodów słowiańskich, gdyby się ukazywało regularnie i niezawodnie. Oto w lutym dopiero wyszedł jego zeszyt za wrzesień, październik i listopad roku ubiegłego. Ładny miesięcznik! Raczej kwartalnik i to mocno spóźniony. Redakcja się tłumaczy, że „opóźnienie spowodowane zostało przez trudności typograficzne". Mówi się: trudno. Ale trzeba pamiętać, że tego rodzaju „opóźnienia" zniechęcają czytelników, którzy nie mogą czekać pół roku na zeszyt wrześniowy i tracą zaufanie do firmy. Prócz tego pismo traci na aktualności. Więcej wysiłku i pracy, mniej — jak to mawiał Sienkiewicz: nieprodukcyjności słowiańskiej, a wszystko będzie dobrze. Wreszcie — dlaczego Redakcja „Życia" powiada, że pismo jest ilustrowane? Na potrójny zeszyt jedna tylko fotografia starego Masaryka; trzeba napisać rzetelnie, numer potrójny z jedną ilustracją.

KONKURS TRZECH PYTAŃ

Ciekawa ankieta stołecznego dziennika

Warszawski „Express Wieczorny" wpadł na pomysł interesującego i pożytecznego społecznie konkursu dla swoich czytelników. Jest to konkurs „3 pytań":

1) Co dla ciebie oznacza spółdzielczość?

2) Dlaczego zapisałem się do spółdzielni?

3) Co mnie wstrzymuje od zapisania się do spółdzielni?

Ze sposobu postawienia tych pytań wynika intencja redakcji. Chodzi mianowicie o zbadanie opinii społeczeństwa bez względu na to, czy ta opinia wypadnie dodatnio, czy ujemnie. Jest to więc próba przeprowadzenia szeroko stosowanej w krajach demokratycznych zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych ankiety publicznej na temat interesujący ogół społeczeństwa. Jest to postawienie sprawy jak najbardziej słuszne, jednostronne bowiem postawienie pytań zmuszało by biorących udział w konkursie do wypowiadania się w jednym jakimś, z góry określonym kierunku. W takim razie nie byłaby to ankieta, a tylko impreza propagandowa.

Zresztą redakcja wyraźnie podkreśla, że nagrodzone będą wyróżniające się wypowiedzi, bez względu na to, czy ich autorzy dochodzą do wniosków pozytywnych, czy negatywnych.

Już z dotychczasowych wyników ankiet widać, iż postawione zagadnienie jest bardzo na czasie, że wzbudziło szerokie zainteresowanie w całym kraju.

Obecnie już w odpowiedziach zarysowują się wyraźnie trzy grupy. Jedna z nich podkreśla znaczenie gospodarcze spółdzielczości.

„Spółdzielczość jest dla mnie ruchem likwidującym nadmierne przerosty wyzysku mas pracujących przez handel prywatny, potęgującym wzrastanie dobra społecznego, a przez to podnoszenie stopy życiowej przeciętnego obywatela; spółdzielczość w połączeniu z nacjonalizacją życia gospodarczego stwarza podstawy nowego ustroju społeczno-gospodarczego o sprawiedliwszym rozdziale dochodu społecznego".

„Spółdzielczość przede wszystkim oznacza dla mnie zduszenie nadużyć ze strony poszczególnych handlarzy, którzy łupią skórę z ludzi pracy. To „położenie kresu czarnemu rynkowi". Ktoś pisze wprost — „Spółdzielczość oznacza dla mnie dobrobyt. Zapisałem się do spółdzielni, ponieważ pragnę przyczynić się do dobrobytu mas pracujących, do czego dąży właśnie spółdzielczość".

Nie brak i materiału anegdotycznego Uczestnicy ankiety opisują, w jaki sposób zetknęli się ze sklepami spółdzielczymi i przekonali się do praktycznych walorów spółdzielczości.

Nie brak jednakże i wypowiedzi traktujących sprawę szczerej.

„Wybitny ekonomista, biorąc udział w konkursie 3 pytań, pisze m. in., iż „w pełnym tego słowa znaczeniu ideowy ruch spółdzielczy ma przede wszystkim na celu wnosić drogą wychowawczą pierwiastki społeczne do działalności gospodarczej, że tym samym spółdzielczość winna być szkołą wychowania szerokich rzesz obywatelskich w dziedzinie uspołecznienia naszego na odcinku gospodarczym".

Dotykamy tu sedna zagadnienia:

Czy spółdzielczość jest samodzielnym ruchem ideowo - wychowawczym. Nie mówiąc już o wypowiedzi cytowanego ekonomisty, cały szereg „szarych spółdzielców" wypowiada się właśnie w tym kierunku. „Spółdzielczość to najdoskonalsza organizacja, prawdziwy postęp i demokracja, to prawo kultury, stwierdzające, że jedność jest wszystkich, wszystko jest jednością. Spółdzielczość jest ruchem wybitnie społecznym. Opiera się na współdziałaniu, kierując je na teren życia gospodarczo - społecznego. Jest głównym czynnikiem postępu cywilizacji, kultury..."

Z tych głosów można się zorientować, iż ludzie ustosunkowani pozytywnie do ruchu spółdzielczego oczekują odeń czegoś więcej niż rozwiązywania swoich codziennych potrzeb materialnych. Starają się znaleźć i sformułować pewne podstawy ideologiczno - filozoficzne, będące niewątpliwie źródłem tego ruchu.

Pozytywną stroną ankiety jest również jej część... negatywna. Obejmuje ona głosy krytyki pod adresem działania tych czy innych placówek spółdzielczych. Na ogół nie natknęliśmy się dotychczas na głosy wypowiadające się zasadniczo przeciw spółdzielczości. Są natomiast głosy krytykujące jej praktykę. Posłużą one niewątpliwie do skorygowania błędów, od jakich żadna ludzka instytucja nie jest wolna.

Rola ankiety nie kończy się na łamach dziennika. Łatwo się zorientować, iż ankieta, ogłoszona przez dziennik tak poczytny, musiała spowodować napływ tak obfitego materiału, że tylko jego część będzie można wydrukować. Całość materiału zasługuje na uwagę i przestudiowanie. Nie wątpimy, że czynniki odpowiedzialne za całość polityki spółdzielczej zainteresują się zgromadzonym przez redakcję „Expressu" materiałem i przestudiują go z należytą uwagą. Na tej dopiero podstawie będzie można wyprowadzić pewne wnioski ogólne, opierając się na fakcie społecznym, jakim jest opinia publiczna.

Postaramy się wówczas o dostęp do tych materiałów i wniosków, żeby zaznajomić z nimi czytelników „Tygodnia".

Spółdzielcze Samochodowe Zakłady Naprawcze

Posiadanie przez ruch spółdzielczy znacz nego taboru samochodowego spowodowało konieczność utworzenia przy „Społem" Samochodowych Zakładów Naprawczych. Jeszcze w roku 1945 Związek „Społem" przystąpił w Łodzi na Radogoszczy do montowania tego rodzaju przedsięwzięcia. Obecnie Zakłady te stoją na tak wysokim poziomie technicznym, że mogą one wykonywać wszelkie naprawy głównie samochodów, łącznie z naprawami silników.

Zakłady są w stanie dokonać kompletnej wymiany tłoków, zmiany średnicy cylindrów oraz zmiany ułożyskowania wału korbowego silnika. Należy podkreślić stałe wzrastającą wydajność Zakładów i ich wysoki poziom techniczny oraz niskie stosunkowo ceny, na jakich Zakłady pracują. Zakłady stanowią całkowitą własność Związku „Społem" i zmontowane zostały z niczego w ciągu niespełna dwóch lat.

MARIAN WERALSKI

PRZEMYSŁ DLA WSI

PRÓBA BILANSU PÓŁROCZNEGO

W połowie ubiegłego roku skasowane zostały świadczenia rzeczowe rolnictwa: wprowadzono wolny obrót artykułami rolniczymi. Podczas, gdy dotychczas chłop obowiązany był odpowiednią część swych płodów dostarczyć w formie „świadczeń rzeczowych" na wyżywienie dla ludności miejskiej, to obecnie rozporządza on swobodnie plonem swej pracy.

Świadczenia rzeczowe były złem koniecznym w pierwszym okresie powojennym. Znamy wszyscy ich ujemne cechy: związanie z ich ściąganiem olbrzymiego aparatu ludzkiego, koszmar sprawozdawczości i kontroli wykonania itd. Jednak jest rzeczą niewątpliwą, że młode państwo polskie dźwigające się z pożogi wojennej i wkraczające na drogę planowej gospodarki mieszanej, znając wszystkie złe strony świadczeń rzeczowych nie mogło z nich zrezygnować, jeśli chciało puścić w ruch cały aparat przemysłowy. Robotnikowi, górnikowi, kolejarzowi należało zapewnić minimum wyżywienia jeśli miało się od niego wymagać wysiłku dla wspólnego dobra.

Szybka odbudowa gospodarcza zniszczeń wojennych i olbrzymi wysiłek polskiego chłopa i robotnika zwiększających znacznie produkcję, pozwoliły państwu już w połowie ubiegłego roku podjąć decyzję zrezygnowania ze świadczeń rzeczowych rolnika. Decyzja ta wprowadziła oczywiście rewolucyjne zmiany w całym aparacie handlowym. O ile dotychczas aparat ten był nastawiony na zbiórkę określonych z góry ilości ziemiopłodów i ich dostarczanie do punktów zbiorczych i w związku z tym sporządzanie szeregu raportów i sprawozdań, o ile wzamian za to aparat ten często dostarczał chłopu określone artykuły przemysłowe w formie premii za prawidłowe i terminowe wykonanie dostaw, premii w określonych również z góry towarach i ilościach, to po zniesieniu świadczeń rzeczowych aparat handlowy musiał się przestawić na zupełnie inny system pracy.

Aparat handlowy miał teraz do czynienia nie z wyznaczonymi ilościami i terminami lecz z wolną podażą ze strony chłopa, który mógł swobodnie decydować o ilościach i terminach zależnie od ceny rynkowej i innych momentów. Z drugiej strony tenże chłop za sprzedany towar chciał nabyć szereg artykułów przemysłowych potrzebnych dla jego gospodarstwa domowego lub rodzinnego również w przedmiotach, ilościach i terminach, o których on sam chciał decydować.

Wymiana artykułów rolniczych na przemysłowe przeniosła się na płaszczyznę wolnego rynku, na płaszczyznę podaży i popytu i wynikających z tego tarć i wahań. Jest rzeczą oczywistą, że państwo pracujące na zasadach planu gospodarczego nie mogło pozostać obojętne na to, jak ta wymiana będzie się kształtować i nie mogło zrezygnować z kontroli nad tym wolnym rynkiem i z wyznaczania kierunku jego działalności, kierunku wynikającego z realizacji ogólnego planu gospodarczego.

Najważniejszym zagadnieniem było smusić chłopa do sprzedaży określonych ilości artykułów rolnych w określonych terminach, aby wyżywienie ludności miejskiej było równomiernie zapewnione i aby wykluczone zostały tendencje spekulacyjne żerujących na tego rodzaju okazjach spekulantów. Jednak zmusić trzeba było chłopa nie w drodze nakazu, lecz w drodze stworzenia mu takich warunków gospodarczych, żeby zdecydował się on na sprzedaż swych plonów. Chłop nie sprzeda zboża, aby uzyskać za nie dajmy na to 1000 zł i schować te pieniądze, lecz aby za tę uzyskaną ze sprzedaży zboża kwotę kupić pług, kosę, czapkę, buty czy koszulę. Należało więc chłopu zapewnić możliwość kupna tych artykułów przemysłowych, które są mu potrzebne, po niskich cenach, a wówczas i chłop sprzeda chętnie swoje plony po niskich również cenach.

Zasadniczo towary przemysłowe przeznaczone na wieś były odbierane hurtowo od przemysłu państwowego przez „Społem" i P. C. H. (Państwową Centralę Handlową). W tym celu obie powyższe Centrale zawarły w połowie ubiegłego roku w myśl wytycznych Ministerstwa Przemysłu szereg umów z poszczególnymi Centralami Zbytu państwowych Zjednoczeń branżowych, na mocy których Centrale Zbytu zobowiązały się dostarczać „Społem" i P. C. H. odpowiednich ilości towarów przemysłowych dla rozprowadzenia na wieś.

To był punkt wyjścia zainicjowanej w ubiegłym roku przez państwo t. zw. akcji „Przemysł dla wsi", która miała dostarczyć chłopu na wieś różne artykuły przemysłowe na kwotę łączną ponad 10 miliardów złotych.

Jednak jak zaznaczono wyżej państwo planowo gospodarujące, decydując się rzucić na wieś za przeszło 10 miliardów złotych towarów przemysłowych, chciało utrzymać w swych rękach nici całej akcji i w tym celu do akcji wciągnęło cały ruch spółdzielczy, w którym jest ściśle gospodarcze powiązanie spółdzielni ze „Społem" jako centralą spółdzielczą.

Posiadając dziś ze „Społem" cyfry dotyczące tej akcji za okres od 1 lipca do 31 grudnia 1946 r. stwierdzamy, że w ciągu niespełna pół roku (lipiec był właściwie okresem przygotowawczym) sam tylko Związek „Społem" rozprowadził w ramach akcji „Przemysł dla wsi" towarów przemysłowych za łączną kwotę sześć miliardów trzydzieści pięć milionów złotych. Z tego przeszło połowa były to artykuły konsumcyjne gospodarstwa domowego, a wśród nich 90% stanowiły materiały włókiennicze (patrz szczegółowe rozbicie na tablicy nr 1). Druga część to artykuły przemysłowe potrzebne chłopu w jego gospodarstwie rolnym, których „Społem" rozprowadziło za blisko 3 miliardy zł (patrz szczegółowe rozbicie na tablicy nr 2).

Wykaz artykułów konsumcyjnych gosp. domowego, dostarczonych w ramach akcji „Przemysł dla wsi" przez „Społem"

	TYSIĘCY METRÓW:	
WEŁNY	1.714	
BAWEŁNY	2.435	
JEDWABIU	554	
ART. LNIANYCH	475	
KONFEKCJI	2.044	
POŃCZOCH	29	MILIONÓW ZŁOTYCH 2.793
ARTYKUŁÓW CHEMICZN. ELEKTROTECHN. i CERAMICZN.		158
PAPIERNICZYCH		72
OPAŁOWYCH		122
OD 1·VII – 31·XII·1946 ROKU		3.145 mil. zł.

Wykaz artykułów przemysłowych dla potrzeb gospodarstwa rolniczego, dostarczonych na wieś przez aparat „Społem"

	w milionach złotych
ŻELAZO i ODLEWY	585,8
MASZYNY ROLNICZE	289,-
NAWOZY SZTUCZNE	1.218,6
MATERIAŁY BUDOWLANE	222,2
MATERIAŁY PĘDNE	524,9
OPAKOWANIE	49,4
	2.889,9
OD 1·VII — 31·XII·1946 R.	

Jakie doświadczenia dał nam okres ubiegłego półrocza, czy akcja przemysł dla wsi" spełniła pokładane w niej nadzieje, czy zaspokaja w pełni potrzeby wsi — na te pytania postaramy się odpowiedzieć za tydzień.

NA MARGINESIE

„Dostawy węgla z Polski do Z.S.R.R. zmniejszone zostaną do połowy" (z komunikatu, dotyczącego rozmów polskiej delegacji rządowej w Moskwie).

Zastanawiając się nad znaczeniem cytowanego ustępu komunikatu, warto sobie uświadomić kilka cyfr i faktów. Wydobycie węgla w 1938 roku wynosiło w Polsce 38 milionów ton — w 1946 roku 47 milionów ton, ale obecnie rozporządzamy znacznie większymi zasobami węgla niż to było w okresie przedwojennym.

Plan produkcji na 1947 r. przewiduje przy intensywnym szkoleniu ludzi wzrost wydobycia do 60 milionów ton, czyli osiągnięcie w drugiej połowie roku sprawności przedwojennej.

Jakie jest przeznaczenie wydobytego węgla. W 1946 około ⅓ część była eksportowana a około ⅔ poszły na rynek wewnętrzny. Przed wojną sytuacja była podobna — około 30% węgla szło na eksport a reszta była zużywana w kraju. Przed wojną eksport nasz szedł głównie do Szwecji, Włoch, Francji, Niemiec, dziś do ZSRR, Szwecji, Francji.

Jednak zmieniła się zasadniczo sytuacja na międzynarodowym rynku węglowym. Przed wojną kraje przemysłowe importowały rocznie około 100 milionów ton węgla. Dostawcami byli: Anglia (około 45%), Niemcy (około 25%), Stany Zjednoczone (około 10%), Polska (około 10%), Belgia, Holandia, Francja (około 10%). Obecnie zapotrzebowanie pozostało niezmienione, lecz węgla na eksport jest mniej. Anglia przy znacznym obniżeniu wydajności jako eksporter nie wchodzi dziś w rachubę. Niemcy straciwszy na rzecz Polski kopalnie śląskie, w Zagłębiu Ruhry osiągnęli zaledwie 54% swej sprawności przedwojennej. Kopalnie te są pod kontrolą angielską i wbrew opinii światowej eksploatowane w głównej mierze na rynek wewnętrzny niemiecki. Wydajność kopalń belgijskich i holenderskich również spadła do 60—70%, przedwojennej. Jedynie Francja utrzymała wydobycie węgla na poziomie przedwojennym, ale Francja przed wojną sprowadzała węgiel dodatkowo z zagranicy.

W ten sposób na rynku węglowym jako eksporter wysuwa się Polska na naczelne miejsce. Wprawdzie po wojnie poważne dostawy węgla przychodzą ze Stanów Zjednoczonych, ale pragną one wycofać się z tych dostaw jak najszybciej. Polska ma dziś na rynkach zachodnio europejskich nadzwyczajną koniunkturę węglową. Odpadają dwaj główni konkurenci Anglia i Niemcy. Jak długo koniunktura ta się utrzyma, trudno powiedzieć. Czy Anglia kontrolująca dziś połowę europejskich kopalń węgla doprowadzi swe górnictwo szybko do przedwojennej wydajności? Są tacy, którzy twierdzą, że trzeba się z tym liczyć; są inni wskazujący na brak ludzi, na reemigrację, zwłaszcza setek tysięcy polskich górników do kraju i twierdzą, że kopalnie zachodniej Europy nigdy do normy przedwojennej nie wrócą. Tak czy inaczej — Polska ma możność uplasować dziś swój węgiel na rynkach Europy Zachodniej i Północnej, zanim znajdzie się tam węgiel angielski i niemiecki i zdobyć te rynki na stałe.

Jednak możliwości produkcyjne ograniczają nasze możliwości eksportowe. Zmniejszenie do połowy dostaw do Z. S. R. R. umożliwia nam większą aktywność na zagranicznych rynkach zachodnich, gdzie jak zaznaczono moment czasu ma olbrzymie znaczenie. Znaczenie to wzrośnie tym więcej, jeśli uzmysłowimy sobie, że w 1938 r. węgiel stanowił 18,4% wartości naszego eksportu (a w 1946 roku przeszło 80%), oraz, że nasza produkcja węgla wynosząca w 1946 r. 47 mln. ton ma być w okresie trzechletnim prawie podwojona.

To jest jedna strona medalu, a druga strona to możliwość zwiększenia konsumcji krajowej. W roku 1937 w Polsce rozporządzającej olbrzymimi pokładami węgla spożycie węgla na rynku krajowym wynosiło 736 kg na głowę, śmiesznie mało w porównaniu z zagranicą. Dziś spożycie znacznie przewyższa przedwojenne, wynosząc ponad tonę na 1 mieszkańca, ale wobec znacznego uprzemysłowienia kraju jest jeszcze niedostateczne. Najbliższy okres musi spożycie to znacznie podnieść.

M. MARSKI

BAJECZKI

dla dużych dzieci — dla małych dzieci

Przygody Zagłoby

(Rys. Jerzy Zaruba)



— Ze dwadzieścia pacierzy na tramwaj czekałem. Przy wsiadaniu hajdawery mi poszarpano i guza na łbie nabito. Teraz jadę przylepiony jako ten giez na kobylim zadzie. Wolniutko jadę, a śpieszy mi się bardzo!



— Masz tobie! Jeszcze ten mnie zatrzymał, na ziemię ściągnąwszy! Co to ma znaczyć, mosanie?

— Obywatel uiści 100 złotych grzywny za niedozwoloną jazdę na stopniu.

— Niech i tak będzie, ale puść mnie waść, bo ani chwili czasu nie mam!



Przed bramą Zagłoba i dozorca.

— Co pan tak sapie, panie starszy?

— Bom z drugiego końca miasta per pedes przyleciał, żeby było prędzej. Gdzie ta Komisja Amnestyjna?

— Zaraz pokażę.



— Obywatel w jakiej sprawie?

— Ujawnić się przyszedłem waszmościom i swą zacną karabelę im oddać. Szwedów nią biłem pod Częstochową, a dziś podobno z nimi w przyjaźni żyjecie.

Stefania Grodzieńska

ANTYALKOHOLIK

Poznałam szalenie interesującego mężczyznę. Jestem tak zafrapowana, jak już mi się to dawno nie zdarzyło! Pomyśleć, że dziś, kiedy ludzie się tak rozpijają, spotyka się człowieka, który swoje życie nastawił na zwalczanie alkoholizmu! Żeby to jeszcze był człowiek chory, któremu nie wolno pić, to by się powiedziało, że takiemu to łatwo mówić. Gdyby był stary, gdyby miał żonę, która mu robi piekło o wódkę —wszystko byłoby zrozumiałe. Ale człowiek młody, przystojny, kawaler, tryskający zdrowiem — i takie nastawienie.

Poznałam go wczoraj w towarzystwie, siedzieliśmy przypadkiem koło siebie i bardzo miło się rozmawiało. I właśnie w trakcie tej rozmowy wyjaśnił mi swój punkt widzenia na ogólnie panujące pijaństwo.

Najgorsze, że picie uchodzi teraz za dobry ton — skarżył się — ludzie chwalą się, ile kto kiedy wypił. Zamiast wstydzić się brzydkiego nałogu, opowiadają przy każdej okazji. Jakie wstrętne są te sprawozdania z wszelkich zabaw, rozpoczynające się zawsze od słów: „Wypiliśmy we trzech półtora litra" — czy coś w tym rodzaju.

— I jaką pan na to widzi radę? — zapytałam.

— Jedyna rada to wzmożona propaganda antyalkoholowa — stwierdził. — Każdy człowiek walczący o podniesienie poziomu społeczeństwa, powinien wszelkimi siłami starać się o powiększenie kapitału na ten cel.

Zapaliłam się do tej myśli.

— Ale jak to wprowadzić w czyn, proszę pana?

— Bardzo prosto. Ja zajmuję się tym praktycznie i nawet robię sobie notatki z mojej pracy. Jeśli to panią naprawdę interesuje, pozwolę sobie przynieść do przejrzenia moją księgę antyalkoholową.

Zgodziłam się z entuzjazmem, umówiłam się z nim dzisiaj i oto leży przede mną gruby brulion, który przeglądam z zajęciem.

„Dn. 1 stycznia 1947 roku. Rozpoczynam Nowy Rok, a z nim wzmożoną walkę z ohydnym pijaństwem, panoszącym się niestety w naszym kraju. Na szczęście monopol spirytusowy przeznacza część swych dochodów na propagandę antyalkoholową. Pomóżmy tej instytucji w jej szlachetnym dziele. Dziś byliśmy na śniadaniu noworocznym z Romkiem i Heńkiem. Po Sylwestrze nie byliśmy dysponowani, więc z trudem zmusiliśmy się do wypicia litra czystej monopolowej, czym rzeczywiście minimalnie przyczyniliśmy się do powiększenia funduszu Monopolu, przeznaczonego na walkę z pijaństwem. Ale naprawdę nie mogliśmy więcej.



Dziś poprawiliśmy się trochę

„Dn. 2 stycznia. Dziś poprawiliśmy się trochę. Do towarzystwa przybył Kazio, który bardzo się przyczynił do wzbogacenia funduszu. Oczywiście to wszystko kropla w morzu wobec szalejącego nałogu.

„Dn. 3 stycznia. Dzięki kolacji u Berdzikowskich kapnęło ładnych parę złotych na Fundusz. To bardzo uspołecznieni ludzie. Licząc nawet skromnie, że z sześciu wypitych litrów zaledwie paręset złotych poszło na walkę z pijakami — i tak warto się było poświęcić. Pewnie, że dziś za paręset złotych wiele się nie zrobi, ale starczy chociaż na jakiś artykulik w prasie, namawiający do picia wody sodowej.

„Dn. 4 stycznia. Swoją drogą, jak to dobrze, że Monopol przeznacza część swych dochodów na tę propagandę i daje nam okazję do przyczynienia się. Mam satysfakcję, ile razy idę na kolację z Kaziem. Byliśmy tylko we dwóch, a bez przechwałki mogę powiedzieć, że daliśmy Monopolowi zarobić na dziesięciominutową pogadankę w radio o złym wpływie wódki na wątrobę.

„Dn. 5 stycznia. Ach, ten Kazio! Zawsze mnie zawstydza swoją ofiarnością. Zaprosił dziś Julka, Stacha i mnie. Z pobieżnych obliczeń wynikło, że ufundowaliśmy niewielką wprawdzie ulotkę antyalkoholową, ale zawsze co ulotka to ulotka. Nie zmarnowaliśmy dnia.

„Dn. 8 stycznia. Marny dzień. Najwyżej jednoszpaltowy artykulik pośledniego pióra.

„Dn. 20 stycznia. Plakat! Śmiało mogę powiedzieć, że plakat, przedstawiający pijaka, bijącego żonę i dziecko.

„Dn. 2 marca. Jeśli zsumuję dzisiejsze cztery Heleny, z ręką na sercu mogę powiedzieć, że sam jeden ufundowałem odczyt w świetlicy.

„Dn. 4 marca. Imieniny naszego Kazia. Pełnometrażowy film propagandowy".

Janusz Odrowąż

Opowieść o duchu

Był sobie duch.

Raz w miesiącu o północy chodził po zamku, brzęczał łańcuchami, wył i wydawał inne podejrzane dźwięki.

Lecz oto nadeszły nowe czasy.

Arystokraci pozakładali w miastach knajpy i sklepy komisowe, w pałacu zaś powstał „Dom Wypoczynkowy dla Pionierów Pracy".

Pewnego razu trzej pionierzy rodem z Warszawy zabawiali się interesującą grą w „oko".

I nagle...

— Uuuuuu! — rozległo się tuż pod drzwiami straszliwe wycie.

— A pódziesz! — krzyknął pionier murarski, ciągnąc z talii waleta.

W tej chwili światła przygasły, drzwi rozwarły się z hukiem i do sali wkroczyła postać o gorejących oczach i brzęczących łańcuchach.

Zdziwione towarzystwo otoczyło przybysza.

— Coś pan z choinki się urwał? — spytał pionier - szewc. — Na cholerę pan to żelastwo taszczy?

— I skąd pan się tu wziął? — dodał magistracki formalista. — Najpierw do kancelarii, panie!

Postać jęknęła, zgrzytnęła, zawyła.

— Nie rozumiem, co on gada — rzekł trzeci pionier. — Może to Niemiec?

— Uuuuuuu! Jestem duch! — nie wytrzymał nerwowo przybysz.

Pionierzy cofnęli się trochę.

— Faktycznie, możliwe — rzekł po chwili murarz.

Szewc pociągnął nosem.

— Nawet siarką przepisowo podjeżdża.

— Właśnie! — zdenerwował się urzędnik. — Szkodliwymi dla zdrowia wyziewami zatruwa powietrze, przeznaczone dla pionierów pracy w myśl rozporządzenia z dnia...

— Idźcie, obywatelu, gdzie indziej — przerwał szewc.

— W ogóle, po kiego czorta obywatel tu przyszedł?

Zdetonowana zjawa mrugała świecącymi oczami.

— No, po co? — nalegał szewc.

— Straszyć... — wyszeptał duch.

Panowie spojrzeli po sobie.

— Kogo straszyć? Nas?

— W jakim celu?

— I czym? Tymi łańcuszkami?

Duch kręcił się bezradnie. Urzędnik i szewc wrócili do stołu, a murarz usiłował poklepać zjawę po ramieniu.

— Nie martwcie się, obywatelu. Faktycznie, o wiele słyszałem, w dawniejszych czasach duchy byli do straszenia wystarczające. Ale teraz to się obywatel źle wybrał. Bo ja, proszę obywatela, byłem na ten przykład w Oświęcimiu, koleżka siedział w Mauthausen, a ten drugi dwanaście razy w Alei Szucha na badaniu figurował. I po tym wszystkim szanowna zjawa chce nas przestraszyć darciem mordy i żelazną galanterią? Z czym do gości, proszę obywatela?

Biedne widziadło jęknęło raz jeszcze i zapadło się w ziemię. Ze wstydu...

Miła rodzina

(Rys. Kazimierz Gruś)



Mam zacną i miłą rodzinę, możecie obejrzeć rycinę.



Mamusia się pracą nie babrze, nie musi, bo siedzi na szabrze.



Siostrzyczka pracuje w biurze, ponieważ tam „boki" ma duże.



Wuj — złoto, dolary kupuje, wprost nóg ze zmęczenia nie czuje.



A tatuś do kraju nie wraca, Angielkę w Londynie obraca.

TYDZIEŃ DOBREJ GOSPODYNI

SZTUKA MIĘSA Z BESZAMELEM

1 kg „pierwszej krzyżowej", ugotowanej w rosole (mięso należy wkładać do gotującej się wody, wtedy sztuka mięsa będzie soczysta), pokrajać poprzecznie w plastry, przesmarować beszamelem, złożyć z powrotem, pokryć resztą beszamelu, posypać bułeczką, skropić masłem i zapiec w gorącym piecu na ogniotrwałym półmisku.

Beszamel robi się w następujący sposób: 5 dkg masła, usmażoną małą utartą cebulkę, zasypać łyżką mąki, prażyć dwie minuty i zalać kilkoma łyżkami mleka, tak, aby utworzyła się gładka masa. Dodać szczyptę soli, pieprzu i cukru do smaku.

DORSZ SMAŻONY W CIEŚCIE

Pokrajanego w cienkie plastry dorsza osolić, lekko popieprzyć i maczać w cieście, które się przyrządza w następujący sposób: 2 żółtka i szklankę mąki rozprowadzić wodą, aby ciasto było trochę gęściejsze, niż na naleśniki. Dodać ubitą osobno pianę z 2 białek. Umaczane plasterki ryby kładzie się na patelnię, na której powinno być tyle gorącego tłuszczu, aby ryba swobodnie się w nim smażyła. Podawać z sosem pomidorowym, chrzanowym lub z jarzynką.

BABKA Z RAZOWEGO CHLEBA

4 szklanki mielonych, razowych sucharków, 2 jajka (białko ubite na pianę), 10 dkg masła, torebka proszku do pieczenia, kieliszek araku lub rumu, cukru do smaku. Dolać tyle mleka, aby utworzyło się ciasto średniej gęstości. Wszystko razem dobrze wymieszać łyżką i włożyć do wysmarowanej formy. Piec w gorącym piecu około godziny. Do tej babki można podać sos z rozgotowanych konfitur z wodą i łyżeczką kortoflanej mąki lub sos waniliowy. Sos waniliowy robi się w następujący sposób: 1 żółtko uciera się z cukrem, dodaje paczkę cukru waniliowego, zalewa się szklanką mleka i miesza na ogniu dopóki nie zgęstnieje. Nie wolno dopuścić do zagotowania się.

DOBRY PRZEPIS NA OMLET

1 żółtko ukręcić z 3 łyżeczkami cukru, dodać jedną łyżkę herbacianą mąki, ubite na pianę białko, lekko wymieszać wszystko razem i wylać na patelnię. Zwinąć omlet w rulon — dodać konfitur, lub marmolady. Można robić również omlet z szynką, groszkiem itp.

TYDZIEŃ MODY

Najmłodszym, ulubionym dzieckiem królowej Mody jest pull-over. Liczy on sobie dopiero 30 latek. Kto wie, czy to właśnie nie jego młody wiek i urok sprawiają, iż nasze panie nie mogą oprzeć się pokusie i żadna z nich nie jest w stanie odmówić sobie tego ładnego i wygodnego stroju.

Z początku pull-over był prosty i długi, miał krótkie rękawki i był raczej niezgrabny. Z biegiem czasu przekształca się w obecny pull-over, tak chętnie noszony przez najelegantsze panie.

Pull-over można zrobić z trykotu grubszego, lub cieńszego, chętnie używa się do tego celu wełny „angora" lub samodziałowej, można także łączyć odpowiednio tkaninę z trykotem. Pull-overy nosi się nawet wieczorem lub do stroju wizytowego — ozdabia się je wtedy pajetkami, perełkami, haftem ze złotych nici lub koronką. W pięknych haftach i arabeskach panie mają okazję wykazać całą zręczność i pomysłowość.

Jak wspomnieliśmy, trykot można łączyć z wełną — na rysunku widzimy właśnie takie dwie suknie. Pierwsza z nich ma karczek i talię z trykotu, reszta jest z wełny. Druga suknia ozdobiona jest kołnierzem i półokrągłymi kieszeniami z trykotu.

A oto trzy śliczne domowe suknie, długie do kostek i szerokie, jak krynoliny. Przyjemnie jest ubrać się w nie wieczorem po powrocie do domu. Pierwszy model jest równie ładny, jak... kosztowny! Suknia podbita jest białym futerkiem — gdy się jest w takim stroju, nie straszny ani zimny kaloryfer, ani źle napalony piec.



Konkurs autorski na rozrywki umysłowe

Trzeci konkurs rozrywek umysłowych zakończymy za tydzień, poczym ogłosimy czwarty. W celu urozmaicenia konkursu prosimy wszystkich miłośników rozrywek umysłowych o nadsyłanie różnego typu zadań do konkursu, które o ile okażą się dobre, ciekawe i pomysłowe zostaną umiezczone w ramach czwartego konkursu. Czytelnicy wybiorą spośród tych zadań — trzy najlepsze, za które przyznane będą specjalne nagrody autorskie.

Ubiegający się o nagrodę autorską, nie ma obowiązku opracowania graficznego, lecz tylko podanie: pomysłu schematu układu i treści rozwiązania. Układem graficznym i rysunkiem zajmiemy się sami (nie wyklucza to oczywiście dokładnego opracowania przez autora pomysłu).

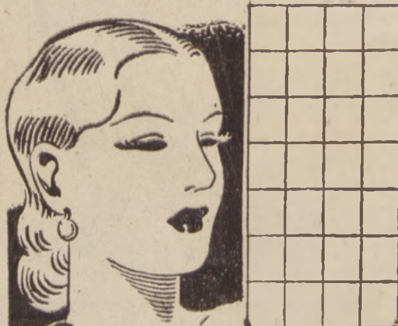
TRZECI KONKURS „TYGODNIA" NA REBUSY I KRZYŻÓWKI

W numerze 3 (27) ogłosiliśmy III konkurs „Tygodnia" na rebusy i krzyżówki, które podawać będziemy w 10 kolejnych numerach. Na prośbę czytelników wprowadzamy nagrody książkowe.

Jako nagrody Redakcja przeznacza: 30 nagród książkowych,
20 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Za prawidłowe rozwiązania każdego zadania, przyznane będą 3 punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy po zakończeniu konkursu do dnia 1 kwietnia br. do Red. „Tygodnia" — Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8.

(Nadesłał Jerzy Bielenia)



1. ELIMINATKA

W podaną figurę wpisać należy siedem czteroliterowych wyrazów poziomych o podanym znaczeniu. Następnie z liter tych wyrazów skreślić wszystkie litery wchodzące w skład „klucza" tj. wyrazu oznaczającego: „przysmaki z cukru, słodycze". Pozostałe po skreśleniu litery czytane wg kolejności wyrazów dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) Wieniec laurowy. 2) Książka, broszura drukowana 3) Zdatny do orania. 4) Pomost do spania. legowisko. 5) Śmietanka bita z cukrem. 6) Urzeczenie, czar. 7) Kule bilardowe.



Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"

Redaguje: Zespół redakcyjny

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8

Oddział w Łodzi, ul. Mariana Nowotki (dawniej Pomorska) 37

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Prenumerata miesięczna zł 40.

Konto PKO, Łódź VII nr. 4321

Ogłoszenia: za 1 mm. wysokości na szerokość 1 szpalty — 50 zł.

Druk: Zakłady Graficzne Spółdzielni Wydawniczej „Książka". Warszawa Smolna 12 B-20920



CO TYDZIEŃ NAGRODA

SKLEROZA

W ubiegłym tygodniu nagroda 150 zł została podzielona. Po 50 zł otrzymali: p. Michał Romer (Gliwice, ul. Zawiszy Czarnego 4 m. 5) za wycinek z „Dziennika Zachodniego"; p. Regina Pietyszówna (Łódź, ul. Piotrowska 28 m. 49) za wycinek z „Echa Wieczornego" i p. dr Stanisław Kaszubski (Otwock, ul. Żeromskiego 4) za wycinek z „Życia Warszawy".

VOTUM NIEUFNOŚCI DLA RZĄDU HOLENDERSKIEGO

Kopenhaga. Parlament duński odrzucił wniosek o wyrażenie votum zaufania dla premiera Christensena (tytuł i tekst depeszy: „Dziennik Zachodni" Nr 337).

Nieufność i zaufanie, Holandia i Dania — to gancpomada. A może depeszę należy rozumieć w ten sposób: jeżeli parlament duński odrzuca wniosek o wyrażenie votum zaufania swemu premierowi, to tym samym wyraża mu votum nieufności, które jednocześnie wymierzone jest w rząd holenderski? Co znaczy polityka!

O MAŁY WŁOS

Liczba abonentów elektrowni warszawskiej stale wzrasta. Obecnie korzysta z energii elektrycznej, dostarczanej przez tę wytwórnię 95.377 odbiorców. Stanowi to jedną trzecią abonentów przed wojną — w r. 1939 było 720.000 abonentów.

95.377 nie stanowi jednej trzeciej 720-tu tysięcy, lecz niemal jedną ósmą. Ale dlaczego nie napisać: jedna trzecia? Czytelnik nie będzie sprawdzał, bo wierzy słowu drukowanemu. A jedna trzecia wygląda znacznie pokaźniej i zbliża się prawie do ponadnormy.

COŚ PACHNIE

Adam Nalewka: Żadne z pism polskich nie prowadzi działu ogłoszeń matrymonialnych. Jak wynika z Pańskiego listu, chciałby Pan zawrzeć znajomość z osobą „płci odmiennej". Czy nie można tego uczynić na terenie miejscowej świetlicy czy organizacji młodzieżowej? (odpowiedź redakcji w „Życiu Warszawy" Nr 279).

Po pierwsze, nie jest prawdą, jakoby żadne z pism polskich nie prowadziło działu ogłoszeń matrymonialnych. Są pisma w Łodzi, w Poznaniu, w Gdyni, które takie działy dla interesu uprawiają. Nie można wprowadzać w błąd łatwowiarnych czytelników. Po drugie — nie można uczynić tego, czego chce Nalewka, na terenie świetlicy czy organizacji młodzieżowej, ponieważ tereny te mają w zasadzie inne przeznaczenie. Starzy rozpustnicy z „Życia Warszawy" nie powinni gorszyć maluczkich.

HOKUS - POKUS

Polskie meble mają — jak się okazuje — coraz większe powodzenie w Anglii. Kiedy jeszcze w lipcu ub. r. fabryki nasze, pracujące na eksport, dostarczyły do Gdyni mebli wartości 3.612.411 zł, to w grudniu już wyeksportowaliśmy 360 tysięcy ton cukru („Kurier Popularny" Nr 39).

ZGRABNA ALUZJA

Sąd Okręgowy w Gdańsku rozpatrzył w trybie doraźnym sprawę Władysława Ingielewicza, oskarżonego o napad rabunkowy na zegarmistrza. W zrabowanej przezeń teczce znajdowało się osiem złotych zegarków damskich, 25 męskich, 12 złotych pierścionków, 2 złote branzoletki, 4 pary złotych kolczyków, łańcuszki, wisiorki, krzyżyki, broszki. Czy wznowione będzie Towarzystwo Osiedli Robotniczych? Przypadek chciał, że w tym czasie przejeżdżał rowerem funkcjonariusz M.O. — Wiktor Gorczyński i ujął Ingielewicza („Dziennik Bałtycki" Nr 40).

Zapytanie o Osiedlach Robotniczych wstawione zostało dość subtelnie i sugestywnie, zapewne po to, żeby dać do zrozumienia zegarmistrzowi, że Osiedla nie mogą być wznowione z powodu braku funduszów, powinien więc on, odzyskawszy swój wielki majątek, przeznaczyć z niego cząstkę na Osiedla.

JULIAN ŻEBROWSKI

LUDZIE PALETY



PARYŻ — 1907

— Popatrz, to jest artysta malarz, który nigdzie nie pracuje, tylko maluje i maluje.

—No, przecież musi z czegoś żyć.



WARSZAWA — 1947

— Popatrz, to jest artysta malarz który nic nie maluje, tylko pracuje w biurze.

— No, przecież musi z czegoś żyć!...



— Powiedz mi dlaczego nasz Związek Plastyków mieści się przy ul. Walecznych?

— Czyż my artyści malarze nie walczymy ciężko o byt?...



— A czy obecnie, wy artyści, macie nastroje do malowania?

— Do malowania nie mamy i do chodzenia nie mamy!...



W DZISIEJSZEJ PRACOWNI

— Dlaczego mistrz do mego aktu domalował słońce i palmy?

— Przecież nikt nie uwierzyłby, że to ja malowałem.

— Czemu?

— Bo modelka jest rozebrana, a w pracowni 5 stopni mrozu.



— Tak będzie wyglądała demonstracja artystów malarzy pod hasłem... „OBRAZ ROZPACZY".